

**STAŁO SIĘ JUTRO** opracował i zilustrował Andrzej Piasecki

**INSTALACJA**



Instalacja – Włodek Zimowski

Teatr – Dariusz Filip

Wzrosty państwa Abba – Krzysztof Mollnowski

Przebyte – Dariusz Filip

Instalacja – Gabriela Górka



Stało się jutro

Instar omnium

Opowiadań fantastycznych zbiór siedemnasty

*Wiktor Żwikiewicz*

# Instar omnium

Słońce, wokół którego krążyła planeta, znajdowało się w okolicy kosmosu niezbyt przyjemnej nawet dla obytych z próżnią. Płonęło za brzegiem „dziury w niebie” która rozpełzła się pustką pięciuset sześciennych parseków wciąż jeszcze wymiataną przez słoneczny wiatr, lecz przed skrajem pyłowej chmury z jednej strony zasłaniającej całkowicie gwiazdy.

Pierwszy samodzielny lot i od razu — planeta. Starzy kosmiczni włóczędzy ze Zwiadu nie potrafią ukryć wzruszenia, gdy altimetr odmierza odległość do powierzchni nowo odkrytego świata, więc cóż dopiero mówić, gdy trafia się zdatna do życia planeta w pierwszym samodzielnym locie? Doświadczony zwiadowca wie, że albo coś znajdzie, albo nie. Jeszcze bardziej doświadczony ma pewność, że choćby stawał na głowie lub na złamanie karku przelatywał wzdłuż i wszerz pół Galaktyki, to i tak na nic godnego uwagi nie trafi. Wreszcie adept ostatniego roku Szkoły Zwiadu wierzy niezachwianie w oczekujące go na każdym kroku supercywilizacje, mroczne tyranie kosmicznego średniowiecza albo koczujące z gwiazdy na gwiazdę stada raketopodobnych potworów, z którymi trzeba staczać nieustanne boje.

Oczywiście, czasem i pośród praktykantów trafi się zgorzkniały sceptyk, lecz Bado do takich nie należał. Jego rakieta zamknęła drugą spiralę i weszła w korytarz spadku wiodącego wprost na wyznaczone przez pilota lądowisko. Bado wybrał płaską równinę, kilka kilometrów od wschodniego terminatora, gdzie spostrzegł zielone pasmo podobne do obserwowanego ze znacznej wysokości ziemskiego lasu. Uruchomił jeszcze zespół grawideceleracji, spojrzął po raz ostatni w stronę ciemnej mgławicy i... zobaczył drugą raketę.

„Przecież w Komisji Przydziałowej zapewniano, że nigdy tu jeszcze nikogo nie było — pomyślał z irytacją. — Czyżby ci jajogłowi biurokraci doszli do wniosku, że taka planetka wystarczy dla dwóch praktykantów?”

Zastanawiał się, jak postąpić w tej sytuacji, lecz ostatecznie postanowił ignorować nieoczekiwanego, a zgoła niepożądanego współuczestnika przyszłych odkryć.

Tymczasem rakieta wytraciła orbitalną prędkość i poczęła opadać w dół. Ze zdziwieniem stwierdził, że drugi statek dokonuje analogicznych manewrów i bezczelnie szykuje się do lądowania w pobliżu wybranego przez Bado miejsca. Chciał już włączyć radiostację i porządnie wyzwać natręta, lecz tym zamiarom przeszkodził silny wstrząs. Rakieta dla złagodzenia spadku plunęła z dysz ostatnią porcją grawitonów i pozostawiwszy za sobą wszystkie słoje atmosfery — wylądowała.

Nie włączając wygaszonych podczas lądowania ekranów zaczął od razu wkładać lekki skafander.

„Jak niespodzianka, to niespodzianka — pomyślał. — Na ekranie wszystko wygląda nienaturalnie”.

Analizator biologiczny podał skład atmosfery, z którego jasno wynikała bezcelowość używania tlenowego aparatu. Zrzucił więc ciężkie butle, odkręcił silikonowy hełm i nacisnął taster zwalniający klapy śluzy. Raketowy wyciąg postawił go wprost na ziemi.

Podejrzliwie wciągnął nosem powietrze. Było przyjemnie chłodnawe. Odetchnął pełną piersią,

aż zakręciło mu w nosie, i kichnął potężnie.

„Powitanie raczej prozaiczne — pomyślał. — Chociaż... salwa honorowa była”.

Rozejrzał się szybko. Na południe, na wschód, na północ... Od zachodu widok przesłaniał korpus rakiety, więc kucnął starając się dojrzeć coś pod przywartymi prawie do ziemi wylotami dysz. Na zachodzie wszystko było takie samo, jak gdzie indziej, to znaczy nic ciekawego.

Przed statkiem rozciągała się zwykła, podobna do ziemskiej łączka. Trawa była jakby lekko przystrzyżona, wszędzie równiutka i tylko białe główki niby-dmuchańców sterczały nieco wyżej, niczym golfowe piłeczki, które podskoczyły odbite od ziemi i zawisły w powietrzu, zapominając, że trzeba opaść z powrotem. Słychać było brzęczenie niby-pszczoł i zawzięte pobzykiwanie kolorowych muszek nad sercami rozsianych na każdym kroku kwiatów. Nieznaczne powiewy wiatru ledwie poruszały przejrzyste powietrze. „Sielanka!” — Bado skrzywił się z dezaprobatą.

Niepewnie przestąpił z nogi na nogę, poprawił rzemienie plecaka i zapobiegliwie wziętego z rakiety blastera i... znowu zobaczył tamtą rakieta.

Stała spokojnie, prawie niewidoczna na tle bliskiego lasu. U jej podnóża też ktoś stał, patrząc na Bada, tyle że zwrócony twarzą pod słońce, musiał osłaniać oczy ręką. Skafander miał tej samej barwy, co Bado, więc był to niewątpliwie któryś z chłopców ze Szkoły Zwiadu.

Bado chciał się odwrócić i odejść w inną stronę, lecz ponieważ wszędzie wkoło ciągnęła się ta sama trawiasta równina, a jedynym ciekawym obiektem badań mógł być tylko las, postanowił iść mimo wszystko w tamtym kierunku. Niespodziewanie chłopak, który wyszedł mu kilka kroków na spotkanie, wydał się dość sympatyczny. Miał mniej więcej ten sam wzrost, co Bado, choć wiekiem mu chyba ustępował. Natomiast wyczuć można było od pierwszego wejrzenia, że duszę ma bratnią, gdyż broń nosił niedbale przewieszoną gdzieś za plecami, a wokół szyi zakręcił jaskrawą chustę, pod brodą splecioną jeszcze w fantazyjny supeł, z którego rozwiązaniem dałby sobie radę jeden chyba Aleksander Macedoński. W oczach igrał mu wesoły chochlik, a zadarty, upstrzony piegami nos marszczył się zabawnie, gdy podwinięte wargi w przyjacielskim uśmiechu obnażyły rząd białych zębów. Miary wszystkiego dopełnił pierwszy jego gest, gdy bez wielkich ceregieli podszedł do Bada i szerokim, swobodnym ruchem podał mu dłoń.

— Nazywam się Stok — powiedział.

Bado otworzył usta i tak pozostał z półotwartymi wargami, jak zamieniona kiedyś podobno w słup soli żona Lota tyle że przez zaskoczenie, a nie z nadmiernej ciekawości.

Potrzebował dobrej chwili na zrozumienie tak prostego faktu, że chłopak zwrócił się do niego od razu na telepatii.

— Jestem Bado — przedstawił się wreszcie w ten sam sposób.

Powoli ochłonął z zaskoczenia. Bado był w swej istocie leniem największym z możliwych i o niebo przekładał porozumiewanie się telepatyczne nad zwykłe zdzieranie gardła. Dlatego spotkanie kogoś, kto miał w tej materii podobne zapatrywania, wprawiło go nieomal w zachwyt. Uznał to za niepomiarne szczęśliwe zrządzenie losu i już bez jakichkolwiek obiekcji pogodził się z myślą, że będzie musiał zadowolić się tylko połową zasług w odkrywaniu tajemnic tej planety.

— A więc spotkaliśmy się — powiedział.

— Początkowo niezbyt się chyba z tego cieszyłeś? — Stok spojrzał spode łba.

— A ty?

Roześmieli się i zgodnie ruszyli w stronę lasu.

— Na którym jesteś roku? — zapytał Bado.

— Na trzecim — odparł Stok.

Bado z wyższością, niemal protekcjonalnie, poklepał go po ramieniu.

— Za dwa lata będziesz miał taką samą rangę jak ja obecnie.

— Ee... — Stok wcisnął ręce w kieszenie skafandra. Ranga rangą, a głowa głową...

— Też racja, ale najmądrzejsze głowy oglądałem w muzeum. Wspaniałe popiersia...

Stok skrzywił się z politowaniem i chciał zauważyć, że na pierwszy lot zezwolono mu już na trzecim roku Szkoły, lecz właśnie weszli między pierwsze drzewa i niezwykłość ich kształtów przykuła uwagę obydwu zwiadowców.

Nie można było określić wieku tych drzew, gdyż wyglądały zupełnie jednakowo. Nawet odstępy między rozdętymi u dołu pniami sprawiały wrażenie dobrze utrzymanego ogródka. Drzewa były podobne do wazonów z ceramiki jakie Bado pamiętał z domu swojej babci. Wyrastały z ziemi napęczniałymi bulwami, stopniowo zwężając się i dopiero przy samym wierzchołku rozrastając w gęstą koronę pomarszczonych liści. Zastanawiał całkowity brak różnorodności leśnego poszycia. Wolną przestrzeń między pniami pokrywał puszysty dywan żółtawego mchu.

— Ciekaw jestem, czy rozwinęły się tutaj jakieś wyższe organizmy? — powiedział Bado. — Zaczynam w to wątpić. Dotąd widziałem tylko ziółka na łące i te drzewa... Jeśli nie liczyć oczywiście muszek, ale tego paskudztwa pełno na wszystkich planetach.

— Pewnie, że jedynie muszki — potwierdził Stok. — Według Ildentena topologia biosfery tego rodzaju planet nie wykazuje zaawansowania ewolucji form świata zwierzęcego. — Ildenten może się mylić...

Bado nie miał zielonego pojęcia, kto to taki ten Ildenten i mimo rozpaczliwych wysiłków nie potrafił przypomnieć sobie nawet najmniejszej o nim wzmianki w tej garstce podręczników i działach mnemoteki, które musiał przewertować aby jako tako zaliczać semestry. Na wszelki wypadek postanowił nie zgłębiać w obecności Stoka niuansów systematyki gatunków istot planetarnych i ograniczyć się w podobnych sytuacjach do sceptycznych uwag. Tym jednak razem musiał udzielić lekcji młodszemu koledze.

— Dotychczas istnieje kilka teorii w pełni tłumaczących czaso–przestrzenną konfigurację rozkładu zarówno psychozoików, jak i biogenezy niższego rzędu na planetach słońc pojedynczych. Teorie te tłumaczą wszystko dokładnie lecz wykluczają się nawzajem. Dlatego też Ildenten może twierdzić swoje, a ja mogę być stronnikiem Kardem. Ortodromiczna komplikacja momentów ewolucyjnych z pragmatycznym określeniem rachunku prawdopodobieństwa wykazuje niezbicie heteromorficzną naturę samoorganizacji materii nieożywionej. Dlatego możemy mieć nadzieję...

Bado wpakował w ten wykład jeden ze wspaniałe wykutych cytatów z „Naturwissenschaften” Kardem, którego notabene sam nie dość rozumiał, i z ulgą stwierdził, że to poskutkowało. Sprawdziła się stara maksyma, że człowiek woli trzymać się z daleka od tego, co zbyt mądrze dla niego wygląda. Stok szybko zmienił temat.

— Niech diabli wezmą te wszystkie mądrości — powiedział. — Można sobie pogratulować że dostało się samodzielną robotę i przestały nad tobą wisieć wścibskie nosy jajogłowych. Po paru latach nieustannego „nie wiesz, nie umiesz, musisz się podciągnąć” nadarza się wreszcie okazja ruszyć nie tylko tym, ale i tym.

Stok najpierw puknął się rozwartą dłonią w czoło, a następnie zgiął rękę w łokciu, aż biceps naprężył się wypełniając prawie cały rękaw skafandra.

Badowi spodobała się jego szczerość.

— Pewnie — przytaknął. — Po ciągłym wałkowaniu formułek najprostszy wzór może okazać się niestrawny. Trzeba zmieniać klimat...

— I menu — dumął Stok.

Zagłębili się już porządnie w środek lasu, a drzewa jak stały w jednakowych odstępach, tak i nie

kwapiły się jakoś dostarczyć im urozmaicenia w monotonnej wędrówce.

Szli więc ramię w ramię plotąc najprzeróżniejsze głupstwa i co chwilę wybuchając głośnym śmiechem, gdy któremuś udał się jakiś żart. Niezmiernie rzadko zdarza się, by dwóch młodych ludzi tak przypadło sobie do gustu. I to tym bardziej, że przypadek zetknął ich w niezbyt sprzyjających ku temu okolicznościach. Bado błogosławił już nawet los, który jakże w porę zesłał mu towarzysza. Musiał przyznać, że w przeciwnym razie samotny zwiad znużyłby go i zmęczył bardzo szybko.

— Wiesz co? Mam tego dość — powiedział Stok. — Tutaj nie ma czego szukać. Już lepiej zrobić kilka krótkich przelotów, rozejrzeć się z góry, a gdy nic ciekawego naprawdę nie będzie, dorobić raport i adieu...

— Zobaczmy — powiedział Bado. — Ale masz rację, wleźliśmy już porządnie w ten las i przydałby się odpoczynek.

To mówiąc odpiął z pleców małą torbę i cisnął pistolet pod pień najbliższego drzewa.

— Panowie i panie, proszę na śniadanie — powiedział poważnie.

Rozłożyli się na szorstkim mchu. Bado ostentacyjnie wyciągnął z kieszeni pudełko odżywczych pastylek, wysypał parę na dłoń i robiąc bohaterską minę przełknął jedną. Była smakowicie mdła i chociaż naprawdę włożył wiele wysiłku w utrzymanie na twarzy powagi, to jednak nie potrafił powstrzymać się od skrzywienia warg. Pocieszył go dopiero grymas na twarzy Stoka, który z nie mniejszym poświęceniem wpakował do ust aż trzy pastylki za jednym zamachem.

Chwilę siedzieli nie patrząc na siebie, ale wreszcie zmarkotniały trochę Stok zebrał się na odwagę, zrobił wielce niewinną minę i zapytał:

— Wiesz co, Bado? Powinniśmy chyba wykonać kilka obserwacji przewidzianych harmonogramem zajęć. No... zmierzyć dokładnie ciężenie, określić pole magnetyczne, natężenie promieniowania i w ogóle... Chyba wzięłeś aparaturę? Widziałem, że dźwigasz spory plecak.

Bado od razu pojął, w czym rzecz.

— Oczywiście, ale lądowaliśmy oddzielnie i każdy liczył na siebie, więc i ty masz torbę nie mniejszą od mojej... Patrzyli na siebie wciąż jeszcze niezdecydowani. Wreszcie Bado przysunął do siebie plecak i zaczął go powoli otwierać. Torba zaopatrzona była w takie mnóstwo zamków, klamer i zatrzasków, że Bado zawsze mógł jeszcze się wycofać. Jednak, jak się można było spodziewać, ostrożności okazały się zbędne. Stok nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

— Byłem pewien, że pasujemy do siebie jak ulał!

— Jeżeli na dodatek okaże się, że mamy podobny gust w doborze menu...

— To cały świat stoi otworem przed taką parą!

Już bez żadnych skrupułów powyciągali z plecaków mięsne konserwy i plastikowe torebki pełne przemyconych na pokład rakiety specjalów. Stok nie bez dumy postawił na mchu potężny termos i rozlał w kubki coś, o czym z uporem twierdził, że jest tylko herbatą, chociaż Bado mógł przysiąc, że już sam zapach tej herbaty dziwnym sposobem kojarzy mu się z Jamajką.

Opychali się więc smakołykami, przez żaden instruktaż nie przewidzianymi w jadłospisie praktykantów Szkoły Zwiadu, i choć nie przystało to potencjalnym wygom kosmicznym nie czuli z tego powodu specjalnych wyrzutów sumienia. Ze skrajnych możliwości — być kosmicznym wilkiem, któremu wystarczą pastylki, i nie być nim, lecz za to mieć pełny żołądek — wybrali zgodnie to drugie.

Kiedy z zaimprovizowanej uczty Lucullusa pozostały żalosne ostatki, zmęczeni, czy to przebytą drogą, czy też nadmiernym przybytkiem kalorii, wyciągnęli się w cieniu liściastej korony podobnego do afrykańskiego baobabu drzewa i oddali się przyjemnej drzemce.

Jasne słońce przesunęło się powoli nad lasem, bez trudu przenikając skroś ustawionych pionowo

liści i sięgając, zdawałoby się, do najbardziej niedostępnych głębin lasu. Drzewa tylko na skraju leśnego obszaru były zielone, a w miarę oddalania się od jego krańca jakby dojrzewały nabierając stopniowo żółtych i pomarańczowych tonów, aby w miejscu, gdzie legli dwaj zwiadowcy, mienić się dosłownie płomienistymi jęzorami na przemian żółtej i czerwonej kory. Było to tym bardziej kontrastowe, że wyższe partie drzew odzyskiwały zieloną barwę, a na wierzchołku liście miały nawet odcień zielonkawego błękitu. Słońce stanęło wreszcie w zenicie, prawie pionowo nad ich głowami, i poprzez prześwity listowia spłynęło gorącem na twarze śpiących.

Pierwszy obudził się Bado. Z przyzwyczajenia rozejrzał się niespokojnie, ale wokoło panował niczym nie zmacony spokój.

Dla odświeżenia ciała podskoczył, zrobił kilka przysiadów i szerokich zamachów ramionami. Następnie pobierał rozrzucone na beżowym mchu papierki, torebki i próżne tubki, wyrwał zwarty płat darni i zagrzebał wszystko w sypkim piasku.

Kiedy skończył te zajęcia, spojrzał na przyjaciela. Stok leżał wyciągnięty, z błogim zadowoleniem malującym się na twarzy.

Bado zaczął kalkulować, ile miał szans na spotkanie człowieka o tak podobnej psychice, że telepatyczne porozumiewanie się z nim nie sprawiało najmniejszego kłopotu. Na Ziemi znał jedynie parę osób, z którymi rozmawiając nie musiał mleć językiem. Szansa na spotkanie kogoś takiego w kosmosie była tak nieprawdopodobnie nikła, że szybko zaprzestał prób cyfrowego jej określenia. Już chciał szturchnięciem w bok obudzić Stoka, gdy przypadkowo zatrzymał wzrok na jego broni.

Blaster miał wąską, metalicznie błyszczącą kolbę i gruszkowato zakończoną lufę, w której nie było jednak żadnego otworu, a ze zgrubiałego końca sterczał cienki, rubinowy kolec. Bado nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

Nie namyślając się długo, podniósł z ziemi broń. Pozornie pozbawiona była spustu, jednak w pewnym miejscu zauważył mały otwór. Na wszelki wypadek skierował blaster w stronę jednego z drzew, po czym wetknął w otwór palec i nacisnął znajdujący się w środku występ.

Z rubinowej igły zerwała się bezbarwna, matowa kropla i popłynęła w kierunku drzewa. Zanim się do niego zbliżyła, drzewo po prostu zniknęło. Stało się to chyba w momencie, gdy nacisnął spust, natomiast kiedy kropla dotarła na miejsce, gdzie tylko co stoi pomarańczowy pień, nastąpił krótki trzask, jakby pękło szklane naczynie. Dopiero po kilku chwilach Bado spostrzegł, że zniknęło nie jedno, lecz kilka sąsiednich drzew.

Nie kontrolowałem rozrzutu — pomyślał.

Jeszcze raz spojrzał na Stoka. Jego zdziwienie sięgnęło szczytu, gdy uważniej przypatrzył się naszywkom, jakie Stok nosił na skafandrze. Były zupełnie niepodobne do jakichkolwiek znaków noszonych we Flocie Galaktycznej. Bado przyskoczył do leżącego i potrząsnął nim.

— Stok! Obudź się!

Stok otworzył oczy i uśmiechnął się sennie. Attai–dala–ufana — powiedział podnosząc się.

— Cooo?! — zawołał Bado.

— Tuna–sa–do–rodon — odparł Stok i zmarszczył czoło z wyraźną irytacją.

Bado chwycił się nagle za głowę. Pojął, że przez zapomnienie cały czas posługują się zwykłą mową.

— Skąd ty jesteś?

Tym razem przekazał pytanie telepatycznie i tą samą drogą rzeczywiście otrzymał zrozumiałą odpowiedź.

— Czyś ty zwariował, Bado? Jak to, skąd?

Bado skoczył po swój blaster i trzymając go w jednej ręce, a w drugiej pistolet Stoka, pokazał



broń przyjacielowi.

Stok wytrzeszczył oczy. Ich źrenice rozszerzyły się do granic możliwości, pozostawiając tylko wąskie otoczki piwnych tęczywek.

— Skąd to masz? — zapytał. — Jakiś nowy typ?

— Który? — spytał Bado.

— No oczywiście ten — Stok wskazał blaster należący do Bada.

— Fiuu... — Bado gwizdnął przeciągle. — A co o tym powiesz?

To mówiąc położył obydwie pistolety i dotknął palcem naszywek skafandra. Teraz zauważył już więcej różniących ich szczegółów. Na przykład buty Stoka łączyły się ze skafandrem płynnie, bez jakichkolwiek złączy, podczas gdy jego własne miały przy wysokich cholewach szew próżniowej przysawki.

Stok spróbował się uśmiechnąć.

— Tak... — powiedział. — Swoją drogą za spostrzegawczość dwóją... Dla obydwóch.

Bado udał obojętność i tylko wzruszył ramionami. Pomyślał, że to wszystko chyba przez telepatię. Ma to do siebie, że nie jest obarczona słownym szyfrowaniem pojęć i może się nią posługiwać w rozmowie Chińczyk z Australijczykiem, Eskimos z Europejczykiem, a nawet... Właśnie. Czysta informacja jest jednakowa w każdym punkcie kosmosu. Bado pochylił się, chcąc podnieść z ziemi nieostrożnie pozostawione tam przed chwilą oba pistolety, lecz Stok był równie szybki. Każdy pochwycił swoją broń.

Stali teraz naprzeciwko siebie i pilnie śledzili swoje ruchy. Stok marszczył piegowaty nos, a Bado wciąż pogwizdywał przez zęby.

— Już południe — odezwał się wreszcie Stok.

— Uhm... późno.

— Trzeba sprawdzić stabilizację rakiety.

— Tak, łąka... grunt mógł być podmokły.

— Sądysz?

— Ciekawy las — bez związku odparł Bado, ale żaden nie zauważył tego nawet. — Jakie kolory.

— A mech też jakiś dziwny — podchwycił Stok. — Czasami jakby się poruszał.

Bado zrobił niby przypadkowy krok wstecz. O mały włos nie potknął się o własny plecak, lecz udał, że go nie dostrzega. Jednak moment nieuwagi z jego strony wystarczył, aby Stok znalazł się już przy jednym z drzew, gdzie udając, że się rozgląda, wyraźnie oczy ciągle wlepiął w Bada.

— Ciekawy las — mruknął Bado i też zbliżył się do napuchłego u dołu pnia.

— Tar-don-to... — usłyszał jeszcze i jednym susem skoczył za drzewo.

Chwilę stał zacząjony, gotowy do błyskawicznej reakcji na oznakę zbliżania się nieznannej istoty, lecz w lesie panowała cisza. Kilkakrotnie wydało mu się, że słyszy szmer skradających się kroków. Gdzieś zaszeleściły poruszone gałęzie. Kroki oddaliły się. Zacisnął palce na rękojeści blastera, nabrał w płuca haust przesyconego tlenem powietrza i pobiegł przed siebie.

Starał się zatoczyć szerokie półkole i wyjść z lasu wprost na swój statek. Na szczęście odległości między poszczególnymi pniami były duże i mógł rozwinać całą szybkość. Sadził więc wyciągniętym kłusem mając nadzieję, że jako były średniodystansowiec zdoła wyrównać szanse ich obu, zachwiane przez to, że jego rakieta stała jednak dalej od lasu. Po części mu się to udało, w każdym bądź razie, gdy wypadł spomiędzy drzew, tamtego jeszcze nie było. Pomknął prosto jak strzelił do wznoszącej się na szeroko rozstawionych amortyzatorach rakiety. Po drodze płoszył z kwiatów roje brzęczących owadów i rozbijał w lotne obłoczki kłębki puchu podobne do ziemskich dmuchawców.

Kiedy dotarł wreszcie do rakiety i odwrócił na chwilę głowę, zobaczył, jak zamyka się kłapa

włazu na statku stojącym bliżej lasu. Wskoczył na pomost raketowego wyciągu i po chwili był już pod osłoną pancera rakiety. Szybko dostał się do kabiny nawigacyjnej i całym ciałem upadł na klawisze pulpitu. Łokciem wcisnął taster uruchamiający system obrony, uderzeniem kciuka włączył ekran zewnętrznego śledzenia i osunął się na fotel pilota. Nareszcie mógł odetchnąć.

Tymczasem jego statek jakby ożył na nowo. Silniki zaczęły pulsować, przygotowane do natychmiastowej zmiany pozycji w wypadku ataku. Równocześnie system obrony rozwinął na kilkadziesiąt metrów ekrany anihilacyjne i podał do kabiny sygnał gotowości przejścia do działań zaczepnych. Bado otarł z czoła perliste krople potu i naprowadził zewnętrzne kamery na obcy statek. Tajemnicza rakietka również stała nieruchomo jak szary, stalowy obelisk. Ale były to tylko pozory martwoty. Bado wiedział, że „tamten” też czeka.

Przybliżył twarz do ekranu. Nad łąką polatywały jeszcze białe pyłki, a w trawie widać było wyraźne ślady, które pozostawił przybiegając z lasu.

Otworzył znajdującą się tuż nad pulpitem szafkę z przedmiotami pierwszej pomocy na wypadek nieprzewidzianych komplikacji zwiadu i wyciągnął z niej kilka opasłych tomów. Zaczął niecierpliwie przerzucać stronicę. Na grzbietach książek złociły się tłustym drukiem wybite tytuły: „Intelligent Life in Space”, „Mietodika nałaždienija swiazi s suszczestwami drugowo intiellekta” oraz „Lyncos, Desing of a Language for Cosmic Intercourse”. Bado miał nadzieję, że zdoła naprawić popełnione dotąd błędy.

„Można teraz rozpocząć próbę nawiązania kontaktu” pomyślał.

I miał rację. Teraz już można było. Instrukcja Pierwszego Kontaktów mówi wyraźnie o zachowaniu maksymalnej ostrożności przy nawiązywaniu stosunków z przedstawicielami wysoko postawionych galaktycznych cywilizacji. Przede wszystkim ostrożność. Kto ich tam wie, jacy oni są?

*Dariusz Filar*

# Theatron

Silnik ucichł. Wstałem z fotela i ruszyłem do wyjścia. W korytarzu dołączył do mnie Erwin, później z zakamarków kabiny nawigacyjnej wyłonił się Paavo. Włączyłem mechanizm otwierający i pokrywa wjazdu zaczęła wolno opadać zmieniając się w szeroki pomost wiodący na płytę kosmodromu. Wirujący nad stepem wiatr rzucił nam w twarz garść drobnego piachu. W powietrzu czuło się suszę, a kruche jak ze starego zielnika źdźbła traw pokrywała gruba warstwa kurzu.

— Lato się kończy — powiedział Paavo.

Po spiralnej pochylni weszliśmy na szarą wstęgę napowietrznej drogi. W elektrycznym szybkołazie czekał na nas młodzik w granatowym mundurze z pomarańczową naszywką Grupy Powrotów na prawym rękawie.

— Alvar Lan — przedstawił się, gdy podeszliśmy do pojazdu.

Zajęliśmy miejsca i szybkołaz ruszył. Wiedziony niezawodnymi zmysłami automatycznego kierowcy sunął z ogromną prędkością przez rozległe pustkowie lądowisk. Obejrzałem się i przez chwilę patrzyłem na niknący w oddali nasz statek — brudny, z zatartymi znakami rozpoznawczymi, pokryty pęcherzami żużla i plamami rdzy. Erwin z zaciekawieniem śledził moje spojrzenie.

— Żal ci tego pudła? — zapytał.

— Spędziliśmy w nim siedem lat — odparłem.

Zapadła cisza. Alvar, ten młodzik, który przyjechał po nas szybkołazem, chłonał wzrokiem nasze znoszone skafandry z czerwonymi znaczkami pilotów. Ciekawość kipiała w nim — zdradzał to co chwila, chociaż usiłował zachowywać się z niedbałą obojętnością.

— Przydarzyło się wam coś niezwykłego? — wypalił wreszcie.

— Nie — odparł Paavo. — Przemierzaliśmy Przestrzeń i czasami wysyłaliśmy sondy, czasami komunikaty do Centralnego Ośrodka Badań Kosmicznych. Zapewniam cię, że trudno znaleźć zajęcie równie nudne...

Na twarzy Alvara odbiło się rozczarowanie.

„Biedaku — pomyślałem — marzyłeś o ujarzmieniu niezwykłych ludzi, wietrzyłeś barwną opowieść, którą mógłbyś powtórzyć swojej dziewczynie i kumplom, a spotkałeś tylko trzech zmęczonych facetów, którzy wcale nie potrafią interesująco mówić o Przestrzeni, a na dodatek narzekają na panującą w niej nudę...

— Od jak dawna tutaj pracujesz? — spytałem Alvara.

— Od... — zawahał się — czterech tygodni.

— Jesteśmy pierwszą załogą, jaką powierzono twojej opiece?

Potakująco skinął głową.

— Nie miej nam za złe, że nie wyglądamy tak, jak sobie wyobrażałeś — powiedziałem — Jeżeli popracujesz tu dłużej...

— Ależ ja... — przerwał mi chcąc zaprzeczyć, ale zabrakło mu nagle słów i umilkł z rękami wzniesionymi jak do uroczystej oracji.

— Nie przejmuj się — Paavo poklepał go po ramieniu my się naprawdę nie gniewamy.

Powiedział to głosem, jakim przemawia się do dzieci, ale na pewno nie chciał sprawić chłopakowi przykrości.

— Kpicie sobie ze mnie — powiedział Alvar urażonym tonem.

Myślałem, że Paavo go przeprosi, zdawało mi się przez chwilę, że chce wyjaśnić nieporozumienie, ale on wzruszył tylko w milczeniu ramionami. Znowu zrobiło się cicho, od czasu do czasu na ostrych zakrętach skrzypiały amortyzatory szybkołazu. Przez przejrzyste ściany pojazdu widzieliśmy kolorowe budowle, które coraz częściej pojawiały się po obu stronach drogi.

— Chyba nowy styl — mruknął Erwin.

Szybkołaz stanął przed wielkim, pomarańczowym gmachem przypominającym nieco przyklepane mrowisko. „Grupa Powrotów” — głosiła tablica u wejścia. Długimi korytarzami Alvar poprowadził nas do sali, w której czekali członkowie Komisji Głównej. Erwin złożył krótki raport, potem ściskano nam ręce, gratulowano wyników w badaniach.

— Głupią pracę mają ci tutaj — powiedział Paavo, gdy znowu znaleźliśmy się na korytarzu. — Co kilka dni powraca z kosmosu jakaś wyprawa, a oni muszą za każdym razem zapewniać jej uczestników, że właśnie ta była najważniejsza.

Skierowaliśmy się do wyjścia, ale Alvar zastąpił nam drogę.

— Zaprowadzę was teraz do Sekcji Aktualizacji Pojęć — powiedział.

— Dokąd? — wykrzyknąłem.

— Zobaczycie — odparł lakonicznie. Wciąż myślał, że kpiliśmy z niego i przez zemstę traktował nas teraz z wyszukanyim chłodem.

Znowu poszliśmy za nim przez labirynt korytarzy. Mijaliśmy dziesiątki drzwi wiodących do najróżniejszych komórek ogromnego tworu, jakim była Grupa Powrotów, przeskakiwaliśmy z poziomu na poziom, jeździliśmy niezliczonymi windami. Wreszcie wkroczyliśmy do pogrążonej w półmroku sali. Z niewidocznych głośników płynęła jednostajna melodia, panował nastrój sennego spokoju.

— Zaczekajcie tutaj — powiedział Alvar i zostawił nas samych.

Po chwili do sali wszedł mężczyzna w białym lekarskim kitlu.

— Nazywajcie mnie Bell — rzucił od progu. — Podoba wam się mój gabinet?

Nie zdążyliśmy przytaknąć, a on już ciągnął dalej

— Wprowadzę was na nowo w życie, a nie myślcie, że to proste zadanie. Lecieliście siedem lat, a taki okres wiele znaczy w życiu ludzkości. Sporo się u nas wydarzyło...

— Wiemy, wiemy... — przerwał mu Paavo. — Cały czas utrzymywaliśmy łączność galaktowizyjną z Centrum.

— I cóż z tego? — uśmiechnął się Bell.

Popatrzyliśmy na niego ze zdziwieniem.

— Wiecie dlaczego pilot tylko raz w życiu może uczestniczyć w rejsie wieloletnim — spytał nieoczekiwanie.

— Żaden organizm nie wytrzyma dwukrotnie długotrwałego żywienia kondensatami — powiedziałem. — Tak uczono nas w Akademii.

Bell lekceważąco machnął ręką.

— Oszukiwano was. Przeszkoda tkwi w psychice pilota.

— W psychice?

Tego nie podejrzewaliśmy.

— Tak — potwierdził Bell. — Człowiek w Przestrzeni, samotny w bezmiarze pustki, inaczej przyjmuje wiadomości o wydarzeniach na Ziemi niż jej przeciętny, nie opuszczający domowych

pieleszy mieszkaniec. Wszystko, co dzieje się na dalekiej rodzinnej planecie, kosmicznym wędrowcom ukazują kształty bardziej dramatyczne, jaskrawsze, groźniejsze... Czasami wiadomość, którą stateczny mieszcuch wita wzruszeniem ramion, u zahartowanego pilota wywołać może niebezpieczny szok. Drobiazg, usłyszany i zapamiętany w pierwszych dniach po starcie, po latach lotu może zrodzić obsesję. Odrębność reakcji psychicznych człowieka długo przebywającego w Przestrzeni poznano w XXI wieku. W tym samym stuleciu powołano Agencję Informacji Kosmicznej. Zatrudnieni w Agencji psychologowie i dziennikarze dbają, by opuszczające Ziemię serwisy informacyjne wolne były od wieści mogących wzbudzić jakiegokolwiek burzliwe uczucia. Od czasu do czasu nadaje się wiadomości tyleż krzepiące, co nieprawdziwe. Po powrocie z wyprawy kosmonauta dowiaduje się oczywiście o wszystkim. Nic dziwnego, że nie można wysłać go w Przestrzeń po raz drugi — nie uwierzyłby już żadnemu przekazanemu z Centrum komunikatowi. Ze zrozumiałych powodów żaden pilot nie może dowiedzieć się o istnieniu Agencji przed odbyciem lotu; dlatego jej działalność otoczono ścisłą tajemnicą. Od dziś was także obowiązuje jej przestrzeżenie.

Siedzieliśmy osłupiali.

— Nasze rodziny...? — wyszeptał wreszcie Erwin.

— Wiadomości dotyczące waszych bliskich nie kłamały — odparł Bell. — Wszyscy czują się znakomicie.

Zauważyłem, że Erwin i Paavo swobodniej odetchnęli.

— Cieszę się, że mogę wam o tym powiedzieć — dodał Bell.

— Dziękujemy ci — Erwin dźwignął się z fotela. Pójdziemy teraz do siebie.

Ale Bell nie zamierzał jeszcze nas wypuścić.

— Siadaj — delikatnie popchnął Erwina z powrotem. — Nie powiedziałem wam najważniejszego. Nie przerażę was chyba, chociaż to jedna a tych ziemskich nowinek, których w Przestrzeń wysłać nie wolno.

— Nie pracujesz w Agencji, Bell! — zniecierpliwiał się Paavo. — Wylądowaliśmy już i nie trzeba nas uspokajać.

— Dobrze — zgodził się Bell — przejdźmy do sedna sprawy. Pamiętacie zapewne, że przed trzynastoma laty całą światową gospodarkę ujęto w jednolity system „Terra”. Wprowadzono wówczas pełną automatyzację wszystkich procesów wytwórczych. Miliardy ludzi przestały pracować, a powszechna obfitość bezpłatnie rozdzielanych dóbr oddaliła codzienne troski. Odrobinę zajęć mieli tylko studenci, najwybitniejsi naukowcy, politycy, lekarze i nauczyciele; resztę ludzkości ogarnęło nagle niewyczerpane morze wolnego czasu. Zapracowani dawniej szarzy ludzie nurzali się teraz w otchłani nieróbstwa i mimo ciągłego doskonalenia rozrywkowej maszyny zaczęli się nudzić. Jeżeli nudzi się jeden człowiek, dwóch czy nawet tysiąc — nie ma powodów do niepokoju; gorzej, gdy nudzą się miliardy. W dwa lata po wprowadzeniu systemu „Terra” sytuacja wyglądała groźnie; powołano ponownie do życia rozwiązany przed wiekami aparat policyjny, ale nawet ten nie zdołał postawić tamy rosnącej fali przestępstw. Rozpróżniane rzesze nie cofały się przed żadną podłością. Najtężsi znawcy socjologii dwa lata dumali nad sposobami przezwyciężenia kryzysu, nim wreszcie znaleziono panaceum — rozpoczęła się operacja „Arte”. Wierzono, że położy kres totalnemu znużeniu i towarzyszącym mu rozbojom, a równocześnie intelektualnie dźwignie społeczeństwo na niedostępne dotąd wyżyny. Kiedy odlatywaliście, operacja osiągnęła fazę rozkwitu — nieliczni tylko mieszkańcy Ziemi nie uważali się za malarzy, pisarzy, rzeźbiarzy, poetów, pieśniarzy czy aktorów. Niezliczone konkursy i festiwale organizowane w toku operacji wyłaniały wciąż nowych bohaterów dnia. Bawiono się znakomicie, niestety, do czasu... Rychło nowa rozrywka przestała frapować — ludzie tworzyli, prezentowali swoje dzieła, zdobywali nagrody i dyplomy, ale

przecież to była tylko zabawa... Całe życie może poświęcić sztuce tylko prawdziwy artysta lub maniak, toteż większość niedawnych entuzjastów operacji „Arte” odrzuciła dłuta i pędzle, by wrócić do występnych igraszek. Zażegnane chwilowo niebezpieczeństwo powszechnego zwyrodnienia powróciło. Dorośli, młodzież, a nawet dzieci i słabowici staruszkowie bili się między sobą, a pospołu napadali na nielicznych obrońców prawa. Szerzyły się alkoholizm i narkomania, a wydawane nielegalnie pisma pornograficzne osiągały niebywałe nakłady.

Gwoli ocalenia ludzkości od niechybnej zguby zorganizowano akcję opatrzoną kryptonimem „Pół na pół”. Przeobraziła ona życie ziemskiej społeczności w gigantyczną gonitwę, w której jedna połowa obywateli przywdziała policyjne mundury i strzegła porządku, podczas gdy druga oddawała się jego zakłócaniu. Jednakowoż było to rozwiązanie co najmniej niedoskonałe, tym bardziej że dla uczynienia owej gonitwy ciekawszą niektórzy przedstawiciele obydwu wrogich obozów poczęli zamieniać się funkcjami. Zwarcie policyjnych szeregów i usunięcie z nich ludzi najmniej odpowiedzialnych nie na wiele się zdało i już w kilka tygodni później wystąpiły objawy kolejnego rozprzężenia...

— Jakie więc wreszcie znaleźliście wyjście? — zapytał Erwin.

— Stworzyliśmy Theatron — odparł Bell — grę, która wciąga wszystkich, wypełnia czas, a podnosząc drobne słabostki ludzkie do rangi cnót, gwarantuje wyśmienite samopoczucie.

— A na czym polega ta gra? — zaciekawił się Paavo.

— Wyobraź sobie, że stanęła przed tobą grupa znajomych. Część z nich to twoi przyjaciele, część zaś to wrogowie. Nie znasz ich przyszłości, ale na pewno pragnąłbyś ją ukształtować: błędzą w twojej fantazji wizje szczęśliwości bliskich i pogńębienia tych, których nienawidzisz. Spisz swe marzenia na wyrwanej ze szkolnego kajetu kartce albo urwał na taśmie magnetofonu, a gdy to uczynisz możesz przystąpić do właściwego działania. Pomagaj jednym, a staraj się szkodzić innym, chwal i obmawiaj, szkaluj i wybielaj, raz podaj pomocną dłoń, a kiedy indziej wykop pod kimś dołek, bacz przy tym ciągle, by te czynności służyły spełnieniu tych wizji...

Bell urwał i chwilę milczał pogrążony w zadumie.

— Oto cała prawda o Theatronie — powiedział wreszcie.

Niczego nie rozumieliśmy.

— Przecież to bzdura na skalę kosmiczną! — wykrzyknął Paavo. — Najniższe instynkty, skłonność do plotkarstwa i intrygowania mają przynieść zbawienie ludzkości?!

Bell patrzył na nas uważnie i uśmiechał się tajemniczo.

— Opowiem wam dwie krótkie historyjki — zaczął. — Pomogą wam zrozumieć istotę i zasady funkcjonowania Theatronu. Zdarzenia, które tworzą akcję pierwszej historyjki, miały miejsce przed wieloma laty. Pewna nudząca się staruszka, nie umiejąc nic sensownego uczynić z własnym życiem, poczęła mnóstwo uwagi poświęcać swoim bliźnim. Zrazu zadowalała ją bierna, chociaż wnikliwa obserwacja. Zebrawszy odpowiednią ilość danych, staruszka przystąpiła do wygłaszania komentarzy, których z zajęciem słuchały jej przyjaciółki. Gdy powódź informacji o życiu sąsiadów wypełniła jej pamięć, a altruistyczne uczucia serce, postanowiła działać. Uznawszy życie otaczających ją ludzi za jednostajne i nudne, zapragnęła je całkowicie odmienić. Puszczając plotki, podrabiała listy, czasami dopuszczała się drobnych kradzieży, a raz o mało nie skreśliła karku, próbując podrzucić przez okno kompromitujący pewną osobę przedmiot. Pracowała ciężko nie oszczędzając czasu ni sił, ale jakież osiągnęła rezultaty! Efektem jej mozółu były dwa śluby i narodziny czworga dzieci, jeden rozwód, napisanie pracy habilitacyjnej, założenie hodowli syjamskich kotów i nabycie czterech magnetofonów. Mimo dokonania wspaniałego dzieła staruszka nie czuła radości; gorycz bowiem jest udziałem wszystkich twórców, którzy swoje autorstwo muszą chować w tajemnicy.

— W tajemnicy! — w oczach Paava pojawił się błysk zrozumienia.

— Zaczekaj — powstrzymał go Bell. — Opowiem teraz drugą historyjkę. Na pozór nie różni się ona od poprzedniej, ale jej akcja toczy się współcześnie, w dobie Theatronu. Otóż pewna nudząca się staruszka podglądała swoich sąsiadów, a później raczyła grono przyjaciółek barwnymi opowieściami. Wraz z wiedzą o otoczeniu rosła w staruszce nieprzeparata chęć działania. Przystąpiła do niego oczywiście, przedtem jednak opracowała i w zalakowanej kopercie oddała w kolekturze Theatronu taki oto elaborat:

Przez okno mego pokoju oglądać można dwupiętrowy budynek. Niewielkie mieszkanie na parterze i drugim piętrze zajmują czterej stateczni starzy kawalerowie. Apartament na pierwszym piętrze należy do Iona Padduna doktora nauk matematycznych, wykładowcy w pobliskim liceum. Dr Paddon mieszka z żoną i dwoma synami bliźniakami. Synowie zapewne już dawno upuściliby rodzinne gniazdo, gdyby nie czuła opieka ich matki. Pani Paddon bowiem uważa ich wciąż jeszcze za niedojrzałych zabrania im ożenku i urządza straszne awantury, jeżeli wracają nieco później do domu. Ponieważ od lat obu synom zdarza się to prawie codziennie, ciche wieczory należą u Paddonów do rzadkości. Sąsiedzi nie protestują, gdyż przywykli do donośnego głosu pani Paddon, a nawet uważają jej wieczorne monologi za znakomity środek nasenny.

Drugą — poza pilnowaniem synów — pasją pani Paddon jest sprzątanie mieszkania, a raczej wyznaczanie w tym zakresie zadań mężowi i nadzorowanie ich wykonania. Dr Paddon potulnie zgadza się na te praktyki, uciekając od nich tylko na czas zajęć szkolnych i w krótkich chwilach wytchnienia, wykorzystywanych na obmyślanie kolejnych posunięć w rozgrywanych korespondencyjnie partiach szachów, które są jego jedyną namiętnością.

W zaprezentowaną monotonię rodzinnego życia postanowiłam wnieść nieco odżywczego urozmaicenia. Rozpocznę od podrzucenia na stojące u okna biurko dra Paddona bogato haftowanej damskiej chusteczki. Zajęta stałym lustrowaniem mieszkania pani Paddon znajdzie ją na pewno, a od tej chwili zacznie męża śledzić. By śledztwu zapewnić owoce, dorobiłam kluczyk do skrzynki pocztowej państwa Paddonów i wkrótce zacznę podkładać w miejsce szachowej korespondencji dyskretnie perfumowane, a czułe w treści bileciki. Opróżnianiem skrzynki zajmuje się pani Paddon, efekty mego działania można więc sobie wyobrazić. Skupienie uwagi matki na osobie rodzica synowie wykorzystają na zawarcie związków małżeńskich a uwzględniając rodzinne tradycje oczekiwać można, że rychło obaj zostaną ojcami bliźniąt. Odejście synów spowoduje wzrost napięcia w stadle Paddonów, a to niechybnie doprowadzi do jego rozpadu. Uwolniony od narzucanych przez żonę zajęć, dr Paddon spożytkuje czas na napisanie pracy habilitacyjnej. Była pani Paddon, wiedzioną potrzebą posiadania obiektów do tyranizowania, założy hodowlę syjamskich kotów, zwierząt znakomicie nadających się dla jej celów, a przy tym niezwykle czystych. Cisza, która zapanuje w pełnym niegdyś hałasów domostwie, boleśnie dotknie czterech starych kawalerów. Nawykli do dawnych warunków, w nowych cierpieć będą na bezsenność. Gdy dolegliwość ta mocno da im się we znaki, zakupią magnetofony, po czym ubłagają sąsiadkę o nagranie dla nich choć jednej przemowy i będą jej wysłuchiwać każdego wieczora jak najpiękniejszej kołysanki”.

Poczynania staruszki sprawiły, że spełniło się wszystko, co przewidywała. W rok po złożeniu w kolekturze Theatronu elaborat staruszki wraz z milionami innych trafił do specjalnego komputera. Przemysłna maszyna stwierdziła szybko, że plan staruszki osiągnął najwyższy ze wszystkich stopień zgodności z rzeczywistością. Wynik ten został podany do publicznej wiadomości, a staruszce przyznano „Srebrną Nić Intrygi”.

Bell zakończył opowiadanie, a my wybuchnęliśmy śmiechem.

— Słuchaj, Bell — wykrztusiłem tłumiąc chichot. Z twoich opowieści wynika, że każdy może



napisać w tajemnicy historię o znanych mu ludziach i doprowadzić do jej urzeczywistnienia... Dobry żart!

— Nie — Bell wcale się nie śmiał. — Konkursy ogłaszane są każdego tygodnia, po roku podaje się wyniki. Zwycięzcy zdobywają „Srebrne lici Intrygi”, a w dorocznym plebiscycie wybiera się spośród nich twórcę najoryginalniejszego. Plebiscytowa nagroda — „Złota Nić Intrygi” — przynosi sławę i powodzenie...

— W grze nie obowiązują żadne reguły? — spytał Paavo.

— Nie wolno nikogo uśmiercić lub narazić na cielesne cierpienia — odparł Bell. — Wszystkie pozostałe chwytaki są dozwolone. Uważajcie — dodał. — Każdy może napisać dla Theatronu scenariusz, ale każdy też może zostać jego bohaterem.

Wyszliśmy na korytarz.

Paavo i Erwin pożegnali mnie szybko, zostałem sam.

— Nie idziesz do domu? — usłyszałem nagle czyjś głos.

Odwróciłem się błyskawicznie i zobaczyłem naszego przewodnika, Alvara.

— Nie — powiedziałem — nie mam rodziny. Przed lotem mieszkałem w internacie Akademii Pilotów, a teraz...

— Za kilka dni dostaniesz mieszkanie — powiedział. — Na razie możesz zamieszkać u mnie.

Zrobiłem niezdecydowany gest ni to podziękowania, ni to odmowy. Widząc moje zakłopotanie. Alvar uśmiechnął się szeroko.

— Nie szykuję żadnego podstępu — powiedział. — Należę do tych nielicznych, którzy pracują. Theatron nie jest moim jedynym zajęciem... Zresztą nie przejmuj się specjalnie opowieściami Bella, on lubi przesadzać.

Przyjąłem więc zaproszenie Alvara spędziłem u niego dwa tygodnie, a i później odwiedzałem go często. Mieszkał z rodzicami i z siostrą w starym, na początku stulecia wzniesionym domu. Przestronne pokoje wypełniały antyczne meble, na dębowych regałach piętrzyły się stosy książek. Pięćdziesiąt i więcej lat liczące tomy składały się na wcale okazałą bibliotekę, a jak wielkim bogactwem jest jej posiadanie, zrozumiałem po złożeniu wizyt w kilku księgarniach. Próżno szukałem dzieł ulubionych autorów — wydawania klasyki zaniechano przed pięcioma laty, cała natomiast literatura współczesna dotyczyła jednego tematu. „Wszyscy jesteśmy na scenie”, „Intryga i reżyseria”, „Aktor mimo woli”. „Zostań Szekspirem Theatronu!” Wyobraźnia a świat rzeczywisty”. „Theatronowca poczciwego przypadku” — tylko takie tytuły umieszczano na kolorowych okładkach.

W wyprawach badawczych w nowej rzeczywistość towarzyszyła mi Arlet siostra Alvara. Razem ze mną odwiedzała księgarnie i muzea, pomagała mi odnaleźć właściwy sens przesyconych theatronowymi ploteczkami doniesień prasowych, a przede wszystkim chroniła mnie przed zakusami wyjątkowo aktywnych theatronowców, gotowych wykorzystać mój brak doświadczenia. Niechęć Arlet do Theatronu nie ustępowała mojej, toteż rozumieliśmy się świetnie, spędzone wspólnie chwile zbliżyły nas bardzo, a w siedem miesięcy po moim powrocie z Przestrzeni zostaliśmy małżeństwem. Zamieszkaliśmy w maleńkiej przed laty opuszczonej przez mieszkańców wiosce. Sąsiadów mieliśmy nielicznych, podobnych nam uciekinierów z opanowanego przez Theatron świata. Pędziliśmy szczęśliwe ciche życie: studiowaliśmy trochę, czytaliśmy stare książki. Arlet próbowała malować.

Pewnego razu wśród docierającej do nas korespondencji znalazłem kopertę zaadresowaną charakterystycznym pismem Paava.

„Jestem obiektem żartów całej rodziny — skarżył się w liście — nie wiem nawet, jak wielką liczbą plotek i intryg zdołali mnie omotać”.

Pokazałem list Arlet.

— Biedny chłopak — powiedziała.

Mijały dni, wiosenna plucha ustąpiła miejsca słonecznej pogodzie, rozpoczęło się upalne lato. W kilka dni po pierwszej rocznicy mego powrotu na Ziemię w „Theatron Telegraph” — jedynym dzienniku jaki udało się nam zaprenumerować — zamieszczono ogromne zdjęcie Alvara.

Alvar Lan — informował podpis pod fotografią zdobywca »Srebrnej Nici Intrygi«. Zdołał przełamać nieufność powracającego z Przestrzeni kosmonauty i uczynił go członkiem swojej rodziny. Sensacyjne szczegóły w najbliższych dniach.

Chwyciłem gazetę i pobiegłem do Arlet.

— Więc to tak! — krzychałem. — Wszystko było kłamstwem, oszustwem grą! Nagle złość mi odeszła i opanował mnie wielki smutek. — Wszystko było grą... — powtórzyłem.

— Nie! — zaprzeczyła Arlet. — Ja nie udawałam... Tylko Alvar... On to zrobił. Nie wiedziałam o niczym... Mówiła chaotycznie, była bliska płaczu.

I wtedy zrozumiałem, że zachowuję się głupio. Alvar stworzył przecież tylko początek naszej historii, jej dalszy ciąg należał do nas. Przepraszam — powiedziałem nigdy więcej nie będę o tym mówić.

Wiedziałem, że dotrzymam słowa.

*Krzysztof Malinowski*

# Wakacje państwa Atkins

Karol Emanuel Atkins siadł właśnie przed telewizorem, by obejrzeć swoją codzienną porcję strzelaniny i gwałtu na małym ekranie, kiedy z kuchni wyjrzała żona.

— Karolu! — jęknęła zbolalym tonem, który wyrażał zarazem rezygnację, zniecierpliwienie i świadomość faktu, że mąż za pierwszym razem nie zareaguje na jej wezwanie. — Karolu! Czy mogłabym ci na chwilę przeszkodzić!

— Uhm... — odparł rzeczowo Karol Emanuel Atkins, nie odrywając wzroku od telewizora. Wymiana ognia pomiędzy dwoma przedstawicielami na śmierć walczących ze sobą obcoplanetarnych cywilizacji skutecznie zagłuszyła słowa pani Atkins.

Czy mógłbyś sobie na chwilę przeszkodzić! — ryknęła żona pana Karola, sprawnie zarazem wyłączając fonię telewizora.

— Tak — odrzekł z determinacją Atkins. — Mógłbym...

— Chciałam się dowiedzieć, czy zdecydowałeś już coś w związku z naszym urlopem. Moglibyśmy się w tym roku spokojnie gdzieś wybrać sami. Anna wyjeżdża z całą klasą na kolonię w pierścieniu Saturna...

— Nie... To znaczy, nie wiem — Atkins był zupełnie zbity z tropu. — Czy nie mogłabyś tego odłożyć na później? Chciałem...

— Znajoma opowiadała mi dzisiaj — pani Kornelia nie zwracała najmniejszej uwagi na zrozpaczony wyraz twarzy męża — że spędziła cudowny miesiąc w jakimś nowo otwartym uzdrowisku na Wenus. Tam jest podobno wspaniała atmosfera. I krótko się leci, odloty są podobno co godzinę, a w sezonie co dwadzieścia minut. Masę mi naopowiadała... i wyobraź sobie, schudła o całe sześć kilo!

— Jej mąż pewnie też — mruknął Atkins. Potem głośniejsz dorzucił: — Ja się w tym roku nie ruszam z Ziemi...

— Ależ, Karolku! Nie zamierzasz chyba przesiedzieć całych wczasów przed telewizorem! I to akurat wtedy, kiedy Anna...

— Nie przed telewizorem, lecz na Ziemi! — Nieoczekiwanie w pana Atkinsa wstąpił lew. Zdecydowanie podniósł się z fotela i ostentacyjnym gestem włączył na powrót dźwięk telewizora. Film dobiegał końca. Negatywny bohater odcinka serialu, dziewięcionogo-ręki mieszkaniec planety Hekatoon, wił się w śmiertelnych konwulsjach, brocząc fioletową krwią.

Karol Emanuel Atkins pokiwał z aprobatą głową i siadł w fotelu. Potem od niechcienia, nie odwracając głowy, powiedział:

— Poza tym w połowie przyszłego miesiąca ma być mecz o puchar świata robotów serii „K” z „Żelaznymi Chłopcami Smitha”. I ja to muszę widzieć! A na Wenus są fatalne warunki odbioru. Zresztą znudziły mi się już te planecidła! Rok w rok włączymy się albo wśród pomarańczowej trawki, albo po granatowych morzach... Ile wreszcie można? Już zapomniałem jak wygląda zielony kolor!

Pani Atkins wiedziała już, że nic nie wskóra.

— Proszę więc wybieraj sam — odezwała się urażonym tonem. — Tyle razy cię o to prosiłam.

— W porządku — powiedział sztucznie uniesionym głosem Atkins. — Spędzimy wczasy na Ziemi! Ostatecznie teraz jest już mniejszy tłok, towarzystwa turystyczne wręcz biją się o każdego klienta. Pomyśl sama, kiedy byliśmy ostatni raz w Afryce? Albo w Nepalu?

— Och, Karolu zastanowiłbyś się przez chwilę! Wiesz przecież, że nasz raketoplan już ledwie się rusza! A chyba nie zamierzasz się wybierać poduszkowcem? Zwłaszcza że obiecałam go już Annie, na wycieczkę.

— A po co nam to? Załatwimy wszystko przez jakieś biuro.

Atkins przerwał, bowiem właśnie rozpoczął się dziennik telewizyjny. Ulizany spiker uśmiechnął się szeroko do kamery i powiedział:

„Dobry wieczór państwu! Naszą wieczorną edycję dziennika telewizyjnego zaczynamy od tematu najbardziej aktualnego — urlopów. Mamy dziś czwartek, dwudziesty ósmy czerwca dwa tysiące czternastego roku — tak więc sezon urlopowy uważać możemy za rozpoczęty! — Spiker znów pokazał białe zęby w uśmiechu. — Z pewnością wielu spośród państwa zainteresuje garść informacji turystycznych przydatnych przy podejmowaniu decyzji o miejscu i charakterze wypoczynku... Przedwyjazdowa gorączka ogarnęła już większość mieszkańców wielkich metropolii i osad satelitarnych. Towarzystwa i agencje turystyczne prześcigają się w atrakcyjnych propozycjach spędzenia wolnego czasu. Między innymi towarzystwo »Milford Company« proponuje swoim klientom ultraszybką transferię z dematerializacją w najodleglejszych zakątkach Układu Słonecznego. Biuro Turystyczne Yverta natomiast organizuje serie zbiorowych wycieczek dla amatorów tradycyjnej turystyki raketowej. Będzie to wycieczka gwiazdolotowa szlakiem pionierskiej wyprawy Ludomira Placka sprzed piętnastu lat, słynnej ekspedycji statku kosmicznego »Trchal« do najbliższego nam układu planetarnego gwiazdy Wolf 359. Mimo iż wyprawa odbędzie się na konwencjonalnym statku nadświetlnym i będzie trwać aż tydzień, pod adresem biura napłynęło już z górą dwa tysiące zgłoszeń! Równie niekonwencjonalną metodę podróży proponuje...”

Pan Atkins warknął coś pod nosem i wyłączył telewizor. Potem wsadził ręce do kieszeni i przemaszerował przez pokój, zatrzymując się przy oknie.

— Już nie mam zdrowia do słuchania o tych zbiorowych wycieczkach, transferiach, dematerializacjach, ultrakreacjach. Niedługo zaczną nas przesyłać w kopertach i przybijać stempelki, żeby się dziadek nie pomylił z wnuczkim.

— Pięknie — odezwała się słodkim głosem pani Kornelia. Co więc proponujesz? Zostały nam tylko dwa dni czasu.

— A może by tak... do Konga? — zapytał Atkins cichutko. — Tak... Po prostu? Nie byliśmy tam nigdy, zawsze był taki ścisk. No, i taniej by wypadło!

Pani Atkins pokiwała z politowaniem głową.

— Do Konga? Przez biuro turystyczne? A jakie biuro załatwia dziś takie rzeczy? Jakbyś się wczoraj narodził, Karolu.

— Ja to biorę na siebie — odezwał się twardo Karol Emanuel Atkins. — Znam takie jedno małe biuro podróży. Niedawno widziałem ich reklamę. Nawet była interesująca, coś jak: „Z nami szybciej, z nami taniej — podróż w czasie i przestrzeni!”

Małe pomieszczenie biura było zupełnie puste. Jedyne za kantorkiem siedział jakiś młody, puciołowaty człowiek, który na widok wchodzącego Atkinsa poderwał się z miejsca.

— Dzień dobry panu! Czym możemy panu służyć?

— Widzi pan... — Atkins zająknął się. — Ja... To znaczy moja żona ma taki kaprys...

Chcielibyśmy wybrać się na wczasy...

— Kaprys? Ależ to normalne.

— Nie, nie, chwileczkę — Atkins uśmiechnął się zażenowany. — Chodzi o to, że my, widzi pan, chcielibyśmy spędzić wczasy na Ziemi. Właśnie.

— Na Ziemi? — zdumiał się puciołowaty. — N—no oczywiście. Nasze biuro ma prywatne linie lewitorów magnetycznych...

— Przepraszam czego? — spytał Atkins.

— Lewitorów — odparł tamten z dumą. — Tylko nasza firma dysponuje tym rodzajem środków komunikacji. Rozumie pan: takie wagoniki na poduszkach magnetycznych, z pola. Bardzo szybki i bezpieczny środek. Wykupiliśmy wszelkie prawa...

— Nie, nie — przerwał mu pan Karol. — Wolelibyśmy coś bardziej tradycyjnego.

— Doskonale — zgodził się pośpiesznie tamten. Wszystko bierzemy na siebie. A czy zdecydowaliście się już państwo dokąd pojechać?

— Czy ja wiem? Chcielibyśmy gdzieś w Afryce Środkowej... Może Kongo?

— Doskonale! A kiedy?

— No jeśli chodzi o nas, to za dwa dni rozpoczynają się nam urlopy.

— Świetnie! A więc pojutrze możecie być państwo gotowi do drogi!

Atkins był już zdecydowany, kiedy nagle zapytał z wahaniem:

— Widzi pan... Chciałbym zapytać... Może tu śmieszne, ale...

— Proszę bardzo! — ośmielił go puciołowaty.

— Czy pańskie biuro... To znaczy: ja czytałem waszą reklamę... W tej reklamie z tym czasem, czy to... poważnie?

— Ależ oczywiście — obruszył się pracownik biura. Najzupełniej! Wysyłamy naszych klientów także w przeszłość! Czy państwo życzyliby sobie również? Wprawdzie okres czasu, na jaki możecie się państwo wybrać w przeszłość, jest dość ograniczony i nie może przekroczyć stu lat, ale jak dotąd naszym gościom zupełnie to wystarczało!

— Ależ i nam wystarczy! — pośpiesznie zgodził się pan Karol. — Ale czy miałyby to oznaczać, że macie, panowie, do swojej dyspozycji maszynę czasu?!

Puciołowaty trochę się zmieszał.

— Och wie pan to zbyt szumna nazwa dla tego skromnego wynalazku. Wymyślił go nasz szef w domu. Wie pan, takie hobby, żeby mieć nad czym myśleć. Ale działa! Niezawodnie działa! No więc?

— Świetnie! — energicznie stwierdził pan Atkins. Decydujemy się! Poproszę Kongo, jakaś mała osada w buszu, ale raczej blisko cywilizowanych stron. Rok, powiedzmy 1920! Chcielibyśmy się wybrać na jakieś półtora miesiąca. Czy to możliwe?

— Oczywiście proszę pana. Dla naszej agencji nie ma rzeczy niemożliwych. Wszystko dla klienta! — zakończył pompatycznie puciołowaty.

Pan Atkins był zaskoczony swoją operatywnością. Zaskoczony i dumny. Doprawdy! — pomyślał. — Nie ma to jak męska głowa!

Puciołowaty w istocie spisał się doskonale. Kiedy rano zajechał poduszkowiec po ich bagaże, pani Kornelia nie była jeszcze gotowa. Rozzłoszczona nieustannym utyskiwaniem męża na ilość zabieranych bagaży, odzyskała dopiero humor po odjeździe puciołowatego, który zresztą zaskarbił sobie jej sympatię kilkoma czujnie rzuconymi komplementami.

Kiedy znaleźli się w biurze podróży, powitano ich z prawdziwą pompą. Szef firmy, zasuszony, łysawy człowieczek, wprowadził ich do jakiegoś mrocznego pomieszczenia, w którym pośrodku

stały cztery podobne do wideofonicznych kabiny o oszklonych drzwiach. Pani Kornelia ujęła męża pod ramię.

— Karolku — szepnęła. — Trochę się boję. Czy aby na pewno uda nam się wrócić z tej... przeszłości? Z Konga? Jak oni to robią?

— „Bądź mężczyzną!” — przemknęło przez głowę Atkinsowi. Opanował drżenie głosu i teatralnym szeptem odparł:

— Ależ... tego... oczywiście! Współczesna technika...

Pani Kornelia nie pozwoliła mężowi skończyć, lecz jeszcze cieńszym głosem zasięgnęła dalszych informacji:

— Wiesz, tam przecież żyły różne potwory. Te, na przykład hipotamtamy!...

— Nie hipotamtamy, lecz hipopotamy! — odparł sucho pan Atkins, odpędzając jednocześnie podsuwany mu przez wyobraźnię obraz monstrum z planety Hekatoon. Czuł gęsią skórę na rękach. — Zresztą one żyły tylko w rzekach! — dorzucił z lekceważeniem.

— Czy państwo są gotowi? — przerwał im szef. — Jeśli tak, to panią poproszę do kabiny z prawej, a pana do tej obok...

Człowieczek otworzył skrzypiące drzwi obu kabin i zamknął je za Atkinsami. Potem powiedział do przpiętego w klapie marynarki mikrofonu:

— Kiedy się państwo ockniecie, będziecie już w Kongu. I proszę się niczego nie obawiać. Będzie nad państwem czuwać pracownik naszej firmy. Życzę miłego wypoczynku! Z głośnika kabiny pana Atkinsa rozległ się drżący cichy głos.

— E... hm... widzi pan, jest jeszcze taka sprawa: czy ja nie mógłbym jakoś tak zrobić, żeby oglądać tam transmisję z meczu robotów o puchar świata? Nie dałoby się jakoś wyskoczyć, tak na dwie godziny, z przeszłości?

Szef był wyraźnie zafrasowany. Potarł ręką czoło i po chwili powiedział do mikrofonu:

— Przykro mi, ale to jest praktycznie niewykonalne... Ale po powrocie z Konga moglibyśmy przecież państwa jeszcze raz cofnąć w przeszłość o tych kilkanaście dni! I obejrzałby pan sobie cały mecz na żywo, na stadionie. Co pan na to?

Głos w megafoniku był zachwycony.

— Nie, no wie pan! Coś wspaniałego! Proszę wiedzieć, że będę polecać pańskie biuro wszystkim moim znajomym! Człowieczek był zażenowany.

— Strasznie pan łaskaw — wyszeptał. — Mam nadzieję, że się pan nie zawiedzie...

— No, Kornelio! — zakrzyknął żywo pan Atkins. — Do Konga!

Kornelia Atkins opadła z westchnieniem na fotel. Kierowca wniósł ostatnie bagaże do mieszkania i był już przy drzwiach, kiedy przywołał go pan Karol:

— I proszę raz jeszcze powtórzyć szefowi, że jesteśmy niezwykle zadowoleni z jego biura! Odtąd zawsze będziemy korzystać z jego usług!

Młody człowiek skłonił się uprzejmie i wymruczał:

— Miło mi to słyszeć, proszę pana! Oczywiście, że powtórzę.

Wyszedł. — Cudowne! — westchnęła raz jeszcze pani Kornelia.

— Uhm... — przytaknął Atkins. — Ta ostatnia bramka! K-9 pikował w dół jak rakietą! Przechwycił piłkę jeszcze na przedpolu!

— Czy ty naprawdę potrafisz myśleć tylko o biurze i sporcie? — zirytowała się żona podnosząc się z fotela.

— Nie — kwaśno odparł Atkins. — Niestety, muszę jeszcze myśleć o tobie i o Annie!

Kornelia Atkins doszła do wniosku, że za wcześniej jeszcze na przywrócenie mężowi właściwego miejsca w domu, i spojrzała na powrót rozmarzonym wzrokiem w okno. — Niezapomniana! — podjęła. — Już dawno tak dobrze nie wypoczęłam. Czuję taką lekkość w całym ciele!

A wiesz — powiedziała przyglądając się uważnie mężowi jesteś pięknie opalony! Z tą opalenizną możesz się nawet podobać!

— Dziękuję — wycedził Atkins.

— Zauważyłeś — kontynuowała pani Kornelia — że nawet nie doskwierał nam tam specjalnie upał? Muszę ci powiedzieć, że byłeś wspaniały, kiedy wyskoczył na nas z lasu ten zwierz. Myślałam, że umrę ze strachu!

— No, wiesz — zmieszał się Karol Emanuel. — Jaki tam zwierz... To była tylko mała antylopka... Nawet nie sędzę, żeby one atakowały ludzi. Nic wielkiego...

— Słuchaj, Karolku, a co to było, co widzieliśmy podczas drogi do miasta. Wczoraj? Wiesz, na głównej drodze, takie dymiące?

— Automobil — odparł poważnie Atkins. — Taki pojazd, jak nasz poduszkowiec... Kiedyś tym się jeździło...

— A ja myślałam, o Boże, jaka ja jestem głupia! Ja myślałam, że to przeciwko moskitom — powiedziała zawstydzona pani Kornelia. — Że to taki aparat... do dymienia — dodała cichutko.

Atkins miał właśnie rzucić żonie lekceważące spojrzenie, kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach.

— Już się zaczyna — mruknął. — Pewnie wizyta twojej pierwszej przyjaciółki...

W drzwiach stał jednak Bret Carpenter, kolega Atkinsa z pracy.

— Dzień dobry, Kornelio! Jak się masz, Karolu! — rzucił ożywionym głosem. — Słyszałem, że właśnie wróciliście z urlopu, więc wpadłem, żeby zaprosić was na kolację i posłuchać wrażeń. W biurze opowiadają legendy o waszym urlopie, choć Karol nie chciał puścić pary z gęby! A swoją drogą jesteście pięknie opaleni, nie sądziłem, że ktokolwiek na Ziemi znalazłby jeszcze czas i miejsce do poleżenia na słońcu. Przy tym tłoku...

— Kochany — powiedział niedbale Atkins — bo my spędziliśmy tym razem urlop sto lat temu.

— Co proszę? — zapytał zdezorientowany Carpenter. — Nie, no, poważnie pytam...

— Poważnie odpowiadamy — kontynuował z dumą Atkins. — Zupełnie poważnie: w śródmieściu jest taka maleńka agencja turystyczna Powersa. Wpadnij tam kiedyś...

— Czyja? Powersa?! — krzyknął nieoczekiwanie Carpenter. — Więc nie zamknęli mu jeszcze tego interesu? Czy to może u niego spędzaliście urlop w przeszłości? Przy pomocy jego maszyny czasu?

— Tak właśnie — odparł zdetonowany Atkins. — Ja wiem, że trudno w to uwierzyć, ale możesz spróbować sam... To tanio wypada...

Bret Carpenter nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem. Po chwili, kiedy doszedł do siebie na tyle, iż mógł mówić, opadł na fotel, usadziwszy uprzednio naprzeciwko siebie Atkinsa, i powiedział:

— Człowieku! Czy ty wiesz, jak wygląda maszyna czasu Powersa? Myślisz, że jesteś pierwszym, który dał się na to nabrać? Przecież przed trzema laty to była bardzo głośna historia! Nawet na jakiś czas wsadzono go do pudła! Ale racja, was wtedy nie było na Ziemi, więc zapewne nie słyszeliście. — Carpenter zafrasowany pokręcił głową. Że też mu tego interesu nie zamknęli! Widać wykręcił się sianem.

— Ale o czym ty wreszcie mówisz, Bret! — zdenerwowała się pani Atkins. — O co ci chodzi?

— Wiecie, co on z wami zrobił? Wsadził was do kabin...

— Zgadza się — przyznał zaskoczony Atkins.



— ...a potem oszołomił was specjalnym gazem i poddał telehipnozie. To bardzo skuteczny i nieszkodliwy środek sugestii. Wmówił wam, że jesteście... no, gdzie to wy mieliście być?

— W Kongu — pisnęła pani Kornelia.

— Niech będzie Kongo. Ponaświetlał was kwarcówkami, żywił za drogie pieniądze, a wy ssaliście tubki z pastą rybną, przekonani, że jecie pieczeń z gnu! Nadstawialiście twarz na podmuch wentylatora, przekonani, że wystawiacie ją pod wiatr sawanny! Tak wyglądała naprawdę wasza Afryka!

— Nie wierzę — odparł niepewnie Atkins. — To nie jest takie proste. Zresztą skąd ty to wiesz?

Carpenter obruszył się.

— To jest pewne! Wiesz, jak się zaczęła cała afera? Mój znajomy spędzał tam pod rząd cztery urlopy, aż raz wysiadł telehipnotyzer i mój znajomy ocknął się na twardej poszarpanej kanapie w kantorku Powersa.

Carpenter spojrział na zegarek i podniósł się z fotela.

— No, na mnie już czas. Wpadniecie wieczorem?

Atkins, kompletnie załamany, skinął głową.

— A na razie, dobrze wam radzę na przyszłość, podróżujcie w terażniejszości! — dorzucił ze zjadliwym uśmiechem Bret Carpenter.

— I pomyśleć, że tam naprawdę było tak ładnie... — westchnęła pani Kornelia Atkins.



# Przybysze

Poświata w prawym rogu ekranu zwiastowała nadejście dnia. Czujne oko kamery wylawiało z rzednącego mroku coraz więcej szczegółów: czerwone od rdzy wraki zniszczonych przed laty czołgów, ogromne, wypełnione błotem leje, skrecone rury rozbitych wyrzutni, kolorowe odłamki min, kłębowiska przewodów i ruiny potężnych konstrukcji, których przeznaczenia nikt już pewnie nie pamiętał. Siedzący przed ekranem mężczyzna podniósł oczy na zawieszony wysoko zegar, a później nagiął ku sobie srebrny pałak mikrofonu. — Kapral Jesse. Odcinek trzysta siedem — powiedział. Aktywność zerowa. Znowu patrzył na ekran. Słońce już weszło i w jego jaskrawym świetle zryta wybuchami i zasłana żelastwem równina przybrała jeszcze bardziej ponury wygląd. Wojna toczyła się nieprzerwanie od trzydziestu lat — dzień po dniu przeciwnicy kierowali przeciw sobie coraz doskonalsze bronie i coraz groźniejszych środków używali do ich zniszczenia.

Jedna ze ścian rozsunięła się bezszelestnie, do wartowni wszedł drugi mężczyzna i zapytał:

— Spokój?

Jesse w milczeniu skinął głową.

— Ani drgnie — powiedział po chwili, wskazując palcem róg ekranu, w którym widać było błękitną ścianę ochronnej tarczy nieprzyjaciela.

— Możesz już iść — powiedział nowo przybyły. — Przejmuję obserwację.

W swoim pokoju Jesse skreślił jedną z długiego szeregu kresek, którymi oznaczał dni dzielące go od końca służby, a potem zwałił się na łóżko i prawie natychmiast zasnął. Wieczorem wrócił na posterunek. Główny ekran zgaszono. Mdlą mieszaniną zieleni i fioletu błyszczało okienko noktowizora. Wszędzie panował całkowity bezruch i Jesse wiedział, że ma przed sobą kilka spokojnych godzin, bo ataków nigdy nie rozpoczynano nocą. Pograżył się w zadumie. Myślał o tych wszystkich mężczyznach, którzy od lat spędzali tutaj bezsenne godziny — czarna obudowa tablicy kontrolnej porysowana była długim szeregiem wyrytych czubkiem noża inicjałów.

O świcie Jesse włączył ekran główny i wbił wzrok w wylaniające się wolno z porannych mgieł żelazne cmentarzysko. W nieruchomym krajobrazie zaszła nagle niedostrzegalna prawie zmiana: daleka płyta ochronnej tarczy poczęła zapadać się pod ziemię. Jesse szarpnął czerwoną dźwignię systemu alarmowego. Jego rola była skończona, teraz widowisko rozgrywające się na ekranie obserwował z obojętnością przygodnego widza.

Błękitna tarcza ochronna znikła odsłaniając drugą, podobną, a przed nią rząd pojazdów o kształtach przypominających ogromne żuki. Jesse widział wyraźnie lśniące powierzchnie pancerzy i sterzące nad nimi chybotliwe pręty, zapewne anteny. „Czy to tylko sterowane automaty? — pomyślał. — Czy w środku nie ma nikogo?”

Żuki ruszyły równocześnie i z każdym metrem nabierały szybkości. Jeden z nich pędził wprost na Jessego, rósł coraz bardziej, wypełnił sobą cały ekran, a w chwilę później obraz zgasł — pierwsza kamera była zniszczona. Jesse włączył drugą, położoną bliżej wartowni. Znowu widział ogromniejące z każdą chwilą, lśniące pancerze, póki na całą, ogarnianą okiem obiektywu przestrzeń

nie powrócił spokój — żuki minęły drugą kamerę. Włączył trzecią. Pękate cielska maszyn były coraz bliżej, zdawało się, że nic nie zdoła ich powstrzymać. Strzałka dalmierza wskazywała, że żuki zbliżały się na odległość szesnastu kilometrów, gdy jeden z pojazdów zatrzymał się raptownie i rozbłysnął czerwienią wybuchu. Potem to samo stało się z drugim i trzecim... wreszcie na całym ekranie zapanował szalejący bezład płomieni, dymu i raz po raz wzbijanego z ziemi kurzu. Atak został odparty.

Kilka miesięcy później skierowano Jessego do nowych zadań — rozpoczął szkolenie skierowanych na front rekrutów.

— Czerwony krąg oznacza nasze pozycje — mówił Jesse, wskazując pętlę, którą tworzyły nakreślone na mapie linie. Błękitna plama na środku kręgu to placówka nieprzyjaciela. Walkę rozpoczęto przed trzydziestu laty, wkrótce po ogłoszeniu komunikatu o zbliżającym się ku Ziemi obcym statku. Wylądował właśnie tutaj, w samym sercu pustyni. Patrole, które wysłaliśmy na powitanie, zostały zaatakowane i zmuszone do odwrotu.

— Próby porozumienia podejmowano wiele razy — ciągnął Jesse. — Niestety, bez rezultatu. Obecność obcych na naszej planecie i ich wrogie wobec nas nastawienie rodzi powszechny niepokój, ale nie możemy użyć broni, która przyniosłaby przybyszom zagładę. Wojowniczy statek stanowi naszą jedyną szansę nawiązania kontaktu z obcą cywilizacją, a znaczenia tej szansy nie muszę chyba nikomu wyjaśniać. Nawet jeżeli wdrzemy się do wnętrza statku siłą, nie możemy dokonać nadmiernych zniszczeń. Przybysze pozwalają nam zbliżyć się na odległość nie mniejszą niż sto kilometrów, pojazdy, które usiłowały dotrzeć bliżej, zostały rozbite. Nie atakowano jedynie automatycznych wózków, na których poruszają się kamery obserwacyjne. Statek kontroluje wszystkie wiodące doń drogi, jego pociski trafiały i niszczyły nasze patrole na lądzie, pod ziemią i w powietrzu. Rakiety, które wystrzeliliśmy, pragnąc przebić chroniącą statek tarczę, nigdy nie dotarły do celu. W pierwszych miesiącach po lądowaniu statku zamknięto wokół pętli placówek — obserwacja prowadzona jest dniem i nocą. W rok po zamknięciu pętli przeciwnik podjął pierwszą próbę jej rozerwania.

Jesse nacisnął klawisz włączający projektor. Na ekranie ukazała się rozpędzona ława czarnych żuków.

— Ataku nie oczekiwano — komentował obrazy Jesse. Nim oddano pierwsze strzały do żuków, dwa z nich zdołały już przełamać obronę i nadal gnały przed siebie. Postanowiono zepchnąć je do szerokiego korytarza wyschłego przed laty kanału i tam uwięzić. Żywiono nadzieję, że zbadanie czarnych pojazdów pozwoli przeniknąć sekret kosmicznych przybyszów. Akcja rozwijała się pomyślnie żuki zostały otoczone, wydawało się, że nie zdołają się wymknąć. Gdy czołgi zaczęły zacieśniać pierścień obławy, w obu żukach nastąpiła eksplozja. Nie wiemy, kto podjął samobójczą decyzję — ośrodek na statku czy zamknięta w pojazdach załoga. Siła wybuchu była tak wielka, że przy najbardziej drobiazgowych badaniach terenu nie znaleziono żadnej cząstki, którą można by uznać za pochodzącą z rozerwanych maszyn. Podobne wybuchy nastąpiły także w żukach trafionych pociskami naszej obrony — przybysze pragnęli pozostać zagadką i dbali, by nie dostał się w ręce ludzi żaden szczegół mogący posłużyć do jej rozwikłania. Film skończył się i Jesse począł zbierać notatki zmierzając do zakończenia wykładu.

— W latach późniejszych — dodał jeszcze — przybysze wielokrotnie ponawiali ataki, lecz czarne żuki zawsze napotykały nasz opór.

— Jaki był cel ataków? — napytał jeden z rekrutów. — Czy żuki zabijały naszych żołnierzy?

— Żuki nigdy nie używały żadnej broni poza szybkością i siłą swoich pancerzy — odparł Jesse.

— Usiłowały zawsze wyrwać się z okrążenia, ale nie zdołano ustalić, dokąd i po co. Niektórzy utrzymują, że mogły działać bez wrogich zamiarów, ale ta teza znajduje niewielu zwolenników.

Kolejne miesiące znów przyniosły Jessemu zmianę funkcji został wcielony do kompanii wartowniczej, czuwającej nad spokojem sztabu. Potężne bunkry dowództwa szeregiem kondygnacji opadały w głąb ziemi, jedyna droga do nich prowadziła przez szyb z kursującą w nim windą.

Koszary wartowników mieściły się na niewielkiej głębokości, określonej mianem poziomu drugiego, i żołnierze jeździli tą samą windą, którą zjeżdżano na niższe kondygnacje, ale wstęp do głównej kwatery był im surowo wzbroniony. Pewnego dnia Jesse pomylił guziki wprawiające w ruch windę i kabina zatrzymała się dopiero na poziomie trzecim. Jesse nie zauważył niczego, wysiadł i ruszył przed siebie. Po kilkudziesięciu krokach spostrzegł że zabłądził, więc zawrócił ku windzie. Na pomoście czekali dwaj oficerowie.

— Co tutaj robisz? — zapytał jeden z nich.

— Zabłądziłem — powiedział Jesse. — Pomyliłem poziomy.

— Unikaj takich omyłek! — powiedział z naciskiem drugi oficer. — Natychmiast wracaj na górę!

Gdy nadjechała winda, oficerowie kazali wsiąść Jessemu do środka ale nie zamierzali mu towarzyszyć.

W kilka dni po tym wydarzeniu w sztabie zapanowało niezwykle ożywienie — meldunki napływały bez przerwy, żółte wozy łączników o każdej porze wyruszały we wszystkich kierunkach. Przygotowywano nową akcję: skonstruowane przed kilkoma tygodniami pociski miały przebić ochronną tarczę statku przybyszów. W dniu ataku cała armia zgromadziła się przy kontrolnych ekranach. W napięciu patrzono na nieruchomą ścianę tarczy, w której kierunku automatyczne wyrzutnie salwa za salwą, posyłały dziesiątki pocisków. Po kilku chwilach ostrzału na tarczy pojawiła się rysa, która wolno poczęła rosnać w pokaźną szparę. Wszędzie rozlegały się krzyki tryumfu, ale właśnie wtedy ogniem odpowiedział statek. Nim zdołano wydać rozkaz przejścia do obrony, wyrzutnie były rozbite a szpara na powierzchni tarczy zasklepią. Raz jeszcze nie udało się przeniknąć tajemnicy przybyszów, wróciły jednostajne dni oczekiwania.

W nudzie, która znowu nastąpiła, przypadkowa wyprawa na niższe poziomy nie dawała Jessemu spokoju. Dziwił go gniew oficerów i rozkaz natychmiastowego powrotu. „Ukrywają coś — myślał. — Cóż to może być?”

Pełniąc warty, Jesse począł liczyć przewijających się przez sztab oficerów i przekonał się wkrótce, iż niekiedy żaden z nich nie pozostawał na noc w podziemiach. Cicha pustka niezliczonych korytarzy coraz bardziej kusiła Jessego. Nadeszła noc, gdy ostatni śmigłowiec dowództwa odleciał ku spokojniejszym stronom, a Jesse podjął decyzję: postanowił zbadać strzeżone zakazem wstępu poziomy.

Czekał, aż wszyscy udadzą się na spoczynek, po czym wymknął się ze swojej sypialni. Po chwili był w windzie. Nacisnął guzik oznaczający poziom trzeci, ale kabina pozostała nieruchoma. Spróbował kilka razy, później nacisnął guzik poziomu czwartego, ale podłoga windy wciąż tkwiła w tym samym miejscu. Pojechał ku górze, na poziom, gdzie rozmieszczano posterunki warty. Znowu nacisnął guzik z wytłoczoną na środku owalu trójką. Winda ruszyła w dół, ale osiągnąwszy poziom drugi znieruchomiła. Jesse zrozumiał, że pod nieobecność oficerów dolnych poziomów pilnuje mechanizm wstrzymujący ruch windy. Spojrzał na zegarek: do nadejścia dowódców miał jeszcze trzy godziny.

Biegiem wrócił do swojej kwatery. Z szafy w ścianie wyciągnął grube rękawice i okute, przeznaczone do górskiej wspinaczki buty. Do kieszeni kombinezonu wsunął pakiet z kompletem

narzędzi. Znowu był przy windzie. Odesłał kabinę na górę i pociągnął za uchwyt u wiodących do szybu drzwi. Zamek nie ustępował. Jesse wydobył z kieszeni cieniutkie dłuto i wsunął je w szparę przy uchwycie, próbując podważyć ząb zatrzasku.

Po kilku próbach drzwi były otwarte. Jesse naciągnął rękawice i zacisnął dłonie na jednej z wiszących w szybie lin, a potem czubkiem buta szarpnął ku sobie drzwi zamknięte się z głuchym łoskotem. Przesuwając dłonie w dół liny i odbijając się nogami od betonowych ścian Jesse ruszył w głąb szybu. Zamierzał dotrzeć na samo dno i stamtąd dostać się do pomieszczeń sztabu. Minął drzwi wiodące na trzeci i czwarty poziom. Pot zalewał mu oczy, ramiona poczynały drętwieć, ale nie przerywał wędrówki.

Musiał zdążyć wydostać się z szybu, nim pierwsi oficerowie uruchomią windę opadająca w dół kabina mogła z łatwością strącić go w czarną czeluść. „A jeśli nie zdołam otworzyć drzwi od wewnątrz szybu?” — pomyślał.

Ogarnęło go przerażenie. Wyobraził sobie zbliżającą się szybko podłogę kabiny i siebie samego, uwięzionego na dnie szybu jak w cylindrze, ku którego krańcom podąża nieubłaganie ciężki tłok. Schodził dalej. W pewnej chwili jego nogi nie napotkały oporu ściany, całym ciężarem ciała wychylił się mocno do przodu. Zapalił zaczepioną na piersi latarkę: przed nim otwierał się niczym nie zabezpieczony, niski chodnik. Jesse odbił się od przeciwległej ściany i skoczył. Skulony runął w głąb chodnika, padając kilkakrotnie uderzył głową i ramionami o ostre wypukłości, ale nie myślał o bólu — był bezpieczny.

Odpoczął trochę, a później ruszył przed siebie. Chodnik stawał się coraz niższy i po kilku minutach Jesse mógł już tylko pełzać. Dokoła panowała zupełna ciemność. Za łagodnym zakrętem Jesse dostrzegł migocące daleko światło. Począł czołgać się szybciej i wkrótce dotarł do końca chodnika — w owalnym otworze obracało się z furkotem śmigło wentylatora. Jesse wydostał z pakietu szerokie ostrze i obciął wirujące ramiona śmigła, a później rozebrał resztę instalacji. Droga była wolna. Jesse podciągnął się na łokciach i wystawił głowę przez otwór. Wentylator umieszczony był pod samym sufitem, ponad trzy metry dzieliły go od podłogi biegnącego tutaj korytarza. Jesse popełnił z powrotem ku szybowi. Dotarł do wyższej części chodnika, wstał, a później położył się znowu, ale głową w stronę szybu, a nogami do otwartego przed chwilą wyjścia. Szybko czołgał się w tył. Po pewnym czasie namacał czubkami butów kraniec otworu. Wolno wysunął się z ciasnego pierścienia, zawisnął na rękach, a później rozluźnił palce i skoczył w dół. Był w sztabie. Korytarz, do którego dotarł, sprawiał wrażenie od dawna nie używanego — podłoga zasłana była grubą warstwą śmieci, spośród wielu umieszczonych pod sufitem lamp świeciły tylko kilka.

Po obu stronach korytarza ciągnęły się szeregi drzwi, na każdym umieszczona była tabliczka ze stopniem i imieniem oficera. Po kilku krokach Jesse spostrzegł gabinet oficera, który każdego dnia przychodził do sztabu. Jesse pchnął drzwi, nie były zamknięte na klucz. W gabinecie panował porządek, ale tu także czuło się długą nieobecność ludzi. Przy każdym nieco gwałtowniejszym ruchu ze wszystkich mebli podnosiły się tumany kurzu. Jesse poszedł dalej. Korytarz stał się szerszy, a później, za kolejnym zakrętem, ukazała się płaszczyzna podestu. W górę i w dół wybiegały stąd wąskie, żelazne schody. Jesse wybrał zejście. Każda niższa kondygnacja była początkiem nowego korytarza, we wszystkich uderzały przybysza ślady bałaganu i opuszczenia. Dotarł na samo dno.

Najgłębiej położony korytarz był sprzątnięty i jasno oświetlony, ale i tutaj nie było niczego godnego uwagi. Jesse zawrócił ku górze. Znowu mijał pogrążone w półmroku, puste korytarze, na jasne światła i czyste ściany natrafił dopiero u szczytu schodów. Z przykręconej do poręczy tabliczki poznał, że osiągnął poziom trzeci. Najistotniejszą część tego rejonu stanowiła sala odpraw, w której kilkadziesiąt foteli skupiało się wokół wielkiego modelu pola bitwy. Setki kolorowych światełek

oznaczały pozycje poszczególnych jednostek, ich nieprzerwany pierścień otaczała spora błękitna lampę — statek przeciwnika. Oczko pierścienia stanowiła duża, żółta żarówka, oznaczająca położenie sztabu. Obok sali odpraw mieściły się kabiny oficerów dyżurnych obserwacji powietrznej, naziemnej i podziemnej. Tutaj zbiegały się meldunki od wszystkich tkwiących na posterunkach wartowników. W bocznej odnodze korytarza było jeszcze kilka pokoi mieszczących bibliotekę i archiwum.

„Jak oni mogą tutaj pracować” — pomyślał Jesse. Każdego dnia przybywa do sztabu około dwóch tysięcy oficerów. Na poziomie trzecim może pracować stu, tyleż samo na poziomie ostatnim, ale gdzie podziwiera się reszta? Przecież na innych poziomach na pewno od lat nie było nikogo. Czy są jeszcze inne pomieszczenia, których nie zauważyłem?

Zastanawiał się jeszcze nad szczupłością pozostawionego do dyspozycji sztabu miejsca, gdy z głębi korytarza dobiegł go stłumiony odgłos kroków. Gorączkowo myślał o kryjówce, ale nie potrafił się zdecydować na żaden z zakamarków, które zapamiętał. Zawrócił więc ku schodom i zbiegł na podest niższego poziomu. Przystanął i nasłuchiwał tłumiąc oddech. Po chwili na żelaznych stopniach zatupotały wojskowe buty. Jesse znowu popędził w dół, nieznanemu napastnikowi równie szybko podążał za nim. Jesse dotarł na najniższy poziom. Biegł korytarzem szukając schronienia, ale drzwi wszystkich pokoi były zamknięte. Minał wejście do windy i kilka dalszych niedostępnych pomieszczeń. Nieco dalej korytarz zakręcał ostro i stawał się bardzo wąski. Tutaj były już tylko nagie ściany. Jeszcze kilka kroków i Jesse dostrzegł, że korytarz się kończy. Dalszą drogę udaremniały grube drzwi, przypominające swym wyglądem szczelne pokrywy łodzi podwodnych. Jesse pociągnął drzwi ku sobie — były otwarte. Przystąpił bez wahania wysoki próg i zatrzasnął drzwi za sobą. Wewnątrz pomieszczenia była jeszcze sedna kłapa i przy tej Jesse także mocno zakręcił zamykające przejście śruby. Dopiero teraz poczuł, że dygoce ze zmęczenia. Usiadł w ustawionym pod ścianą wygodnym fotelu.

„Nie ucieknę — myślał. — Znajdą mnie... Na pewno już wiedzą, gdzie jestem! Dostaną się do mnie bez trudu... Co ze mną zrobią?” Gdy ochłonął, poczuł, że ściany pomieszczenia i podłoga raz po raz delikatnie drżą. „Bombardują mnie!” — przemknęła przez jego świadomość niepokojąca myśl. Rzucił się do kłapy, którą przed chwilą zamknął, i spróbował odkręcić śruby przytrzymujące ciężkie rygle, ale te nawet nie drgnęły. Odwrócił się szybko i pobiegł w przeciwnym kierunku. Po kilkudziesięciu krokach przekonał się, że nie zdoła umknąć — drogę zamykała przed nim druga kłapa, której śruby także nie chciały ustąpić. Ich grubość sprawiała, że narzędzia, które zabrał ze sobą, okazały się zupełnie nieprzydatne.

Wstrząsy nie ustawały, ale także i nie przybierały na sile. Jesse usiadł znowu i spokojnie oczekiwał dalszego rozwoju wypadków — nic więcej nie mógł zrobić. Gdy po kilkunastu minutach wstrząsy ustały, Jesse wrócił do pierwszej kłapy, ale znowu nie zdołał jej otworzyć. Przeszedł do drugiej i teraz z łatwością przesunął rygle, otwarcie zewnętrznych drzwi też nie przysporzyło mu kłopotu. Wkroczył do jasno oświetlonego tunelu, w którym poruszały się nieustannie taśmy ruchomych schodów. Wszedł na stopień, a ten zaniósł go na podest, który stanowił początek kolejnych korytarzy. Jesse postanowił zbadać wszystkie.

W każdym znajdowały się drzwi prowadzące do laboratoriów, sal wypełnionych maszynami liczącymi, pokoi zastawionych deskami kreślarskimi i warsztatami modelarzy. Wszędzie znać było, że trwają tutaj intensywne prace, które przerwano tylko na krótko. Jeden z korytarzy kończył się wysoką bramą. Jesse pchnął uchylone skrzydło i wszedł do rozległego hangaru. Wielka hala wydała mu się pusta i już zamierzał ją opuścić, kiedy nagle z jego ust wyrwał się cichy okrzyk. Zatrzymał się i wlepił przerażone oczy w odległy, ciemny kąt. Stały tam błyszczące czernią polerowanych pancerzy

— trzy nieprzyjacielskie żuki.

W chwilę później Jesse rzucił się do szalonej ucieczki.

Serce biło mu szybko, na czoło wystąpiły grube, zimne krople potu. „Porwali mnie — szeptał do siebie. — Jestem w rękach wrogów, obcych przybyszów”. Pojmanie przez oficerów sztabu wydawało mu się teraz czymś zwyczajnym, nawet miłym. Obawa przed spotkaniem przerażających, nieznanymi stworów dławiła go coraz mocniej.

Dobiegł już do ruchomych schodów, gdy usłyszał tupot licznych nóg. „Nadchodzą — pomyślał. — Wielonogie potwory!” Zawrócił i pobiegł do hangaru. Zdążył się ukryć w ciemnym kącie, gdy z oddali znowu począł dobiegać szybki stukot. Jesse przestał panować nad strachem i krzyknął głośno. Stukot był coraz bliżej. Jesse wlepił oczy w bramę, a jego krzyk zmienił się w wysoki, histeryczny pisk. Ktoś popchnął mocno jedno z wysokich skrzydeł drzwi do hangaru weszło kilku ludzi. Mężczyzna, na którego naramiennikach błyszczały oficerskie gwiazdy, wysunął się na czoło.

— Kapralu Jesse, pójdziesz z nami — powiedział. — Jesteś aresztowany.

Zamknięto Jessego w ciasnej, pozbawionej lamp celi, tylko przez szparę między krawędzią drzwi a podłogą wpadała wąska smuga światła. Zza drzwi dolatywał odgłos miarowych kroków wartownika.

„Gdzie jestem? — myślał Jesse. — Czy w sztabie? Zdobyli trzy żuki, nie umieli poznać ich konstrukcji i trzymają swą niewiedzę w tajemnicy. U obcych? Aresztowały mnie podobne do ludzi automaty. Nie! Widziałem ich twarze! Skąd znają moje imię? Zdobycie żuków nie mogło pozostać nie zauważone. Jestem u obcych! Tunel z zakręcanymi kłapami mógł być ich pojazdem... Dlaczego przybyli w czasie mojej ucieczki?”

Po kilku godzinach drzwi celi otwały się gwałtownie.

— Chodź! — powiedział wartownik. Zaprowadził Jessego do dużej sali, gdzie przy okrągłym stole siedziało kilkunastu oficerów. Na ścianach umieszczone były duże, półkoliste ekrany.

— Kapralu Jesse — powiedział jeden z oficerów. Zdecydowaliśmy się wyjawić ci tajemnicę.

Podniósł do ust leżący na stole mikrofon.

— Zapalcie ekrany — powiedział. Na szarych płaszczyznach ukazał się dobrze znany Jessemu widok — zarzucona szczątkami broni pustynia.

— Zauważyłeś? — spytał oficer.

— Nie.

— Patrz uważnie.

Jesse wyteżył wzrok: Rozbite czołgi, leje, ruiny wyrzutni... Szare bunkry!

— Przed nami we wszystkich kierunkach są jednostki należące do pierścienia! — wykrzyknął Jesse. — Jestem w środku kręgu?!

— Tak — powiedział oficer.

— W statku obcych?

— Oni nigdy nie przybyli. To właśnie nasza tajemnica.

Jesse milczał.

— Dlaczego? — wykrztusił wreszcie. — Dlaczego to zrobiliście?

W odpowiedzi podsunęli mu cienką, białą książeczkę.

„Dwa podstawowe problemy współczesności” — głosił błękitnymi literami tytuł, poniżej którego czerniał wybity drobnym drukiem dopisek: „Raport Sekretarza Generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych”.

— Raport opublikowano przed czterdziestu laty, ale zapewne słyszałeś o nim?

Jesse potakująco skinął głową.



— Przypomnę ci podstawowe problemy, o których mowa w tytule — powiedział oficer. Otworzył książeczkę i zaczął czytać: — „Gwałtowny rozwój ludzkiej wiedzy usunął przed naszych oczu problemy, które jeszcze przed niewielu laty uważaliśmy za nierozwiązalne. Głód, choroby, wojny i wiele innych plag, które przez stulecia nękały ludzkość, należą do bezpowrotnej przeszłości. Epoka, w której żyjemy, nie jest jednak wolna od trosk, siły pozwalające przewycięzać kłopoty odwieczne stały się źródłem budzących niepokój zjawisk. Pierwszy z problemów to rosnąca z każdym rokiem bierność nauki. Ogromna liczba odkryć i wynalazków, jakie zanotowała historia minionego stulecia, sprawiła, że we wszystkich dziedzinach wiedzy pojawił się stan bliski nasycenia — coraz trudniej znaleźć zagadnienia, których nie zdążono rozwikłać. Wtórny, z konieczności, charakter badań, zalew zawierających drobiazgowo analizy publikacji, obojętne przyjmowanie wszelkich sukcesów przez nawykłe do ich powszechności społeczeństwo — oto przyczyny zamierającej aktywności świata naukowego. Liczne rzesze uczonych porzuciły twórcze rozważania, wbrew przewidywaniom ubiegłowiecznych futurologów kroki na drodze ku pełni poznania są coraz rzadsze i krótsze.

Dokładna ocena przedstawionego wyżej zjawiska oraz obrazujące jego rozwój i obecne rozmiary dane statystyczne zawarte są w dwóch pierwszych rozdziałach raportu. Drugi podstawowy problem współczesności zrodziły wyniki badań przestrzeni kosmicznej. Ludzkość, mimo podjęcia niezliczonych wysiłków, nie zdołała nawiązać kontaktu z inną cywilizacją. Milczenie dalekich planet i nieobecność istot rozumnych w żadnej z poznanych galaktyk zrodziły w naszym społeczeństwie uczucie głębokiego osamotnienia. Przeświadczenie o daremności poszukiwań i teorie uznające istnienie człowieka za jednorazowy wybryk przyrody urosły, na przekór twierdzeniom naukowym, do roli głównego motywu w sztuce. Najpełniej nastroje środowisk twórczych odbija prąd intelektualny zwany patonaturyzmem. Niebezpieczeństwa, jakie niesie rosnąca popularność patonaturyzmu, scharakteryzowano w trzecim rozdziale raportu. Sekretarz Generalny pragnie wyrazić...”

Oficer przerwał czytanie i zamknął książeczkę.

— Już przed czterdziestu laty nie brakowało ludzi, którzy rozumieli, iż konieczny jest bodziec — powiedział. Sygnał, który wyrwie ludzkość z ogromniejącego wciąż odrętwienia i wyzwoli na nowo jej uśpioną energię.

— Sygnałem mógł być statek? — spytał Jesse.

— Tak, przed trzydziestu laty zbudowano tutaj twierdzę, która do dziś pełni rolę statku. Sto kilometrów dalej ukryto w ziemi bunkry przyszłego sztabu. Oba obiekty połączył podziemny kanał i kursujący w nim wagon. Gdy wszystko było gotowe, ogłoszono komunikat o lądowaniu obcych... Sam wiesz, co zdarzyło się później... Wszystkie osiągnięcia ostatnich lat związane są z istnieniem statku, tysiące uczonych szuka środków, które odśłonią tajemnicę...

— Ale bez rezultatu! — przerwał Jesse.

— Tak — zgodził się oficer — bez rezultatu. Każdy wynalazek przekazywany jest nam, a wtedy natychmiast podejmujemy przeciwdziałanie, do tego służą laboratoria, które tutaj widziałeś.

— A żuki?

— To efektowna dekoracja, przybysze muszą być aktywni.

— Kiedy wyjawicie światu prawdę?

— Nie wiem — powiedział zmęczonym głosem oficer. Czy można ją wyjawić?

Pozostali wzruszyli ramionami.

— Jeżeli przyleci prawdziwy statek — dodał ktoś z siedzących przy stole.

— Co będzie ze mną? — spytał Jesse.

— Nie masz wyboru. Należysz teraz do wtajemniczenia i musisz pracować dla nas i z nami.

— Tak — powiedział w zamyśleniu Jesse i patrzył na jaśniejącą na ekranach pustynię. — Tak — powtórzył. Muszę.

*Gabriela Górka*

# Inicjacja

Obudził się jak zawsze, pięć minut przed siódmą, posłuszny maleńkiemu synchronizatorowi bioprądów umieszczonemu pod skórą (który tam tkwił tak dawno, że stał się w jakiś sposób składową częścią jego organizmu — przynajmniej dla niego, traktującego to małe, sztuczne uzupełnienie konstrukcji danej mu przez naturę jak coś zupełnie zwykłego, rozumiejącego się samo przez się) — od pierwszej chwili zupełnie trzeźwy i całkowicie wypoczęty. Przez chwilę leżał bez ruchu wpatrzony w światło dnia, pozwalając, żeby wczorajsza radość rozrosła się w nim i umocniła (wczoraj za bardzo był zmęczony, żeby odczuwać ją w pełni), a potem nacisnął włącznik magnetowidu. Matowosrebrny ekran załśnił natychmiast jasnozielonym światłem, to światło rozjarzyło się i cofnęło — na ekranie zobaczył uśmiechniętą twarz Kett.

— Cieszę się, Joy — powiedziała. — Strasznie się cieszę. Nie masz pojęcia, jaka jestem z ciebie dumna. Zawsze wiedziałam, że jesteś dobry — ta twoja teoria społeczeństw i w ogóle... Ale to, że okazałeś się najlepszy, z twojego roku, naprawdę mnie zaskoczyło. Koniecznie chcę cię zobaczyć i uściskać, Joy. Czy będziesz miał czas wieczorem? Daj znać, jak się obudzisz.

Ekran znów przygasł i znowu się rozjaśnił — zobaczył teraz jakiś duży pokój z regałami na ścianach i zielonym dywanem, przy biurku siedział człowiek w obrotowym fotelu — odwrócił się z nim razem, obraz zbliżył się widocznie mieli tam coś w rodzaju kamery i ta kamera zrobiła najazd na siedzącego; twarz wypełniła ekran i to był Rob: twarde i mocne rysy, wysokie, prawie indiańskie kości policzkowe, zielone oczy, które w tej samej chwili potrafiły być drwiące, odpychająco chłodne i ironiczne, a zaraz potem: serdeczne, ciepłe (i teraz były właśnie takie). Powiedział:

— Gratuluję ci, stary. Naprawdę szczerze ci gratuluję. Myślę, że się spotkamy. Więc teraz tylko tyle.

Ekran zgasł, zszarzał — więcej wiadomości nie było. Odpowiedział Robowi i Kett, wiedząc, że magnetowid każdego z nich przechowa wiernie obraz i każde słowo, odtworzy je dokładnie w odpowiedniej chwili. Jedyny mankament takiego rozwiązania stanowiło to, że to nie była właściwie żadna rozmowa: wymiana informacji, nic więcej ale nie chciało mu się czekać na połączenie telefonowidem. Spieszył się, było już wpół do ósmej.

Dopiero w chwilę później, stojąc w pobudzającej krążenie zawierusze drobniutkich kropeł, pomyślał, że właściwie nie ma się dokąd spieszyć, że dziś mógł pospać dłużej pierwszy raz od ośmiu lat. Nie ma już zajęć na uczelni i wszystko, co pozostało mu do zrobienia, to zaewidencjonowanie w Centralnej Kartotece nowych danych o sobie — tego właśnie faktu, że 25 czerwca 2154 roku ukończył studia z wynikiem celującym, na co złożyła się nie tylko jego wczorajsza, kilkugodzinna obrona, ale i wyniki wszystkich egzaminów składanych w ciągu tych lat. Mógł jeszcze pospać, ale platynowe maleństwo wszyte pod jego skórę nie mogło o tym wiedzieć. Pomyślał: „To potrwa kilka dni. Kiedy dostanę pracę, stabilizator zostanie skorygowany na inny cykl dobowy. Ciekawe, jakie będę miał propozycje”.

Ubrał się szybko, pośpiesznie zjadł śniadanie i — gnany wciąż radosnym, zupełnie zbędnym

pośpiechem (uniwersytecka podstacja Kartoteki Centralnej rozpoczynała pracę o ósmej) — wybiegł z mieszkania.

W podstacji nie było jeszcze nikogo z testowanych, dyżurujący asystent czytał poranną gazetę; olbrzymie, stwarzające doskonałe złudzenie trójwymiarowości zdjęcia pokazywały jakiegoś idola — sławnego piosenkarza czy sportowca: Znany Człowiek niesiony na ramionach rozentuzjzmowanego tłumu, Znany Człowiek w ogrodzie swego domu, „na luzie”, uśmiechnięty, ręka na łbie czarnego doga. Znany Człowiek przed kamerami TV i zaraz — znów roześmiany — jadący na nartach wodnych. Obok — reklama dezodorantu, jakiegoś środka anty i telewizji systemu super-extra-star; „Przeżyjesz wszystko nie wstając ze swojego fotela”. Asystent odwrócił stronę, na rozkładówce zaczynał się kolejny odcinek komiksu o Barrym Wspaniałym, asystent ziewnął i ze znużeniem odłożył dziennik.

— Rok? Wydział? — spytał krótko.

Nie był niesympatyczny, tylko zupełnie obojętny i jakby trochę znudzony. Wyszukał symbol Joya, włączył program, podał maszynie wstępne, identyfikujące dane, a potem wskazał Joyowi kabinę — to wszystko było znane, powtarzało się przecież corocznie — Joy usiadł w wysokim fotelu, odchylił głowę na wysokie, chłodne, obciążone czarną imitacją skóry oparcie. Półprzezroczysta kopuła hełmu nasunęła się na jego głowę i poczuł chłodny ucisk elektrod na czole i skroniach.

— Jesteś gotowy?

Potaknął i czarny ekran przed jego twarzą rozjaśniła zielona lekko drgająca linia. Wznosiła się i opadała trzepoczącą niespokojnie krzywą. „To jestem ja” — pomyślał, nie po raz pierwszy żałując, że nie rozumie tego zapisu, będącego przecież nim samym, najistotniejszą częścią jego ciała: nie tylko pracą mózgu, ale także zapisem całej osobowości.

I zaraz potem, jak zwykle — choć może tym razem znacznie silniej niż zwykle — przemówiła do niego celowość takiego urządzenia: gdzieś w Kartotece Centralnej, przekazane ze wszystkich jej oddziałów i podstacji, grupuje się dane o wszystkich bez wyjątku ludziach, co rok aktualizowane, najbardziej dokładne i ścisłe. Wszystko, co może być istotne w człowieku: zawód i wiek, zamiłowania, ambicje i cechy charakteru — tysiące informacji o wszystkim, z czego składa się jego indywidualność... Przychodzi chwila, kiedy do wypełnienia zadania, do wykonania określonej pracy potrzebny jest ktoś mający nie tylko oznaczone kwalifikacje i zainteresowania, ale też pewne cechy psychofizyczne.

I Kartoteka Centralna z miliardów informacji podaje jedną — tę najwłaściwszą. „I to warunkuje nie tylko przydatność każdego z nas, w możliwie jak najszerszym, ze społecznego punktu widzenia, znaczeniu — pomyślał. — To znaczy także, że nikt i nigdy nie musi już przeżywać codziennej, niepotrzebnej udręki, jaką jest praca wykonywana bez większych zainteresowań, wbrew sobie. Że każdy swoje zdolności, pragnienia i pasje może realizować w sposób dla niego najpełniejszy. Tylko że to osiągnąć można było dopiero w tym ustroju, gdy wszyscy są sobie równi i wszyscy mają zawsze te same prawa...”

Rozmyślał o tym, kiedy asystent wyłączył już komputer, i jeszcze później, stojąc na pierwszym stopniu szerokich, jasnych schodów wiodących do wyjścia. W otwartych drzwiach przed sobą widział odległe niebo i niżej, pod nim, jasnozielony trawnik, który omiatał deszczem przejrzystych kropel ogrodowy robot, kroczący wolno na sztywnych metalowych łapach. Patrząc na jego pracę, w nagłym porywie dumy Joy pomyślał, że czas, w którym przyszło mu żyć i działać, jest lepszy od minionych nawet w zupełnie drobnych codziennych sprawach.

— Dobrze, że cię znalazłem.

Odwrócił się i zobaczył profesora Tancredi: siwa głowa, jasnoniebieskie oczy patrzące zawsze

prosto, z ogromną szczerością. Stał przy nim, tylko o stopień wyżej, i Joy, kiedy się już odwrócił, widział te oczy dokładnie naprzeciw swoich. Tancredi był tylko trochę niższy.

Uśmiechnął się słysząc następne słowa uniwersyteckiej sławy:

— Szukałem cię, Joy. Muszę ci coś powiedzieć. Chodź ze mną.

„Może asystentura” — pomyślał, czując, jak serce przyspiesza w nim nagle (to było tylko nieznaczne przyspieszenie, na większe nie pozwoliłby mu stabilizator, ale i tak odczuł tę swoją, prawie fizyczną, radość). Być asystentem wielkiego Tancredi — do wczoraj nie przyszłoby mu to nawet do głowy...

Szli chwilę milcząc, potem profesor zatrzymał się, położył rękę na ramieniu Joya — zdumiewająca była lekkość tej wąskiej, szczupłej i suchej dłoni. Wydało mu się, że w oczach wykładowcy zobaczył jakieś zmieszanie, ale to chyba było złudzenie; w tej samej chwili stały się znowu chłodne i badawcze jak zwykle i może tylko — trochę bardziej skupione niż zwykle.

— Posłuchaj, chłopcze — zaczął Tancredi i Joy znów miał wrażenie jakiegoś niepokoju: wydało mu się, że ręka na jego ramieniu drży lekko. Profesor mocniej zacisnął palce i tamto drżenie ustało. — Posłuchaj, twoją pracą zainteresowano się w UKS-ie...

Gorące chluśnięcie radości, nadziei, prawie lęku — gdzieś pod żebrami, pod mostkiem, zaraz stłumione, choć gdyby to mogło w jakiś sposób zależeć od niego, wolałby, aby trwało...

— Profesorze...

W skupionych, niebieskich oczach nie było teraz uśmiechu, tylko jak gdyby — cień niepokoju. A jednocześnie te oczy były badawcze, szukały w twarzy Joya jakiegoś potwierdzenia: jakby profesor Tancredi chciał tym patrzeniem zbadać go aż do głębi, a jednocześnie: narzucić mu coś, dopowiedzieć — coś, czego nie miało być w jego słowach.

— Masz się tam dzisiaj zgłosić. Teraz, zaraz. To właśnie ci miałem powiedzieć. — Zdjął rękę z jego ramienia. Możesz mieć nawet propozycję współpracy. — I nagle, cicho i szybko, jakby go prosił o coś, jakby miał coś wyjaśnić, a jednocześnie przypomnieć, utwierdzić to w jego mózgu: — Joy, nie zapomnij: to jest wspaniała kariera... Tam idą tylko najlepsi...

— Wiem... — szepnął, za bardzo zaskoczony, by zdobyć się na coś więcej.

A potem zaczął mówić zachłystując się swoim zdumieniem, radością — tym wszystkim, w co tak trudno było mu jeszcze uwierzyć. — Profesorze... ja nigdy nie myślałem... że mógłbym... że oni zrobią tę propozycję mnie, właśnie mnie...

Ale Tancredi nie słuchał. Nie patrząc więcej na Joya odwrócił się gwałtownie i zaczął iść przed siebie długim, przestronnym korytarzem. Pyry samej windzie potknął się, dziwnie niezdarny, i jak ślepy pociągnął dłonią po jasnej, zalanej słońcem ścianie. Zanim Joy mógł opanować swoje zdumienie na tyle, żeby uczynić bodaj krok w jego stronę, drzwi szybkiej windy zamknęły się z niegłośnym sapnięciem za nagle zmaląłą, przygarbioną sylwetką.

Zdziwienie wywołane zachowaniem profesora osłabło zaraz w tej niecierplivej radości, która w oszołomieniu niosła Joya przez cały teren uczelni i jeszcze potem — pustymi ulicami miasta, do pierwszej stacji metra. Tu uświadomił sobie, że musiałby się dwukrotnie przesiadać, więc wziął autolot i siedząc niewygodnie (te miejskie autoloty ktoś projektował biorąc w rachubę ludzi o wzroście statystycznie przeciętnym) odszukał na kolorowej mapie numer dzielnicy i gmachu, a potem wcisnął klawisze z odpowiednimi cyframi na tablicy docelowej. Start autolotu wgniótł go w siedzenie fotela, ale to zaraz ustało i tylko rozmazane smugi widoczne z bocznych okien zamiast jakiegokolwiek krajobrazu świadczyły, że rozwijana szybkość przekracza 200 km na godzinę. Patrząc na to migotanie pomyślał, że ten dzień i tę chwilę powinien zapamiętać do końca swego życia: nie wierzył, by gdziekolwiek i kiedykolwiek mógł być aż tak szczęśliwy.

Spodziewał się nieznanymi i długimi formalnościami poprzedzających wejście do ogromnego budynku UKS-u i zdziwił się, że wcale tych formalności nie było. Odszukał wskazany pokój na trzecim piętrze, oznaczony numerem 1482 — i stojąc przed tymi drzwiami zawahał się na chwilę. Zrobił niepewny krok, drzwi rozsunęły się przed nim, zobaczył nagle gabinet — ten sam, który już dzisiaj widział na ekranie swojego magnetowidu: wielki, zielony dywan, ciemne regały na ścianie (i to nie było tworzywo, tylko prawdziwe drewno ze swoją ciepłą, niepowtarzalną fakturą, której się chciało dotykać, wyczuwać pod palcami tę jego lekką chropowatość różniącą je od wszystkich, chłodnych i martwych, używanych w jego zastępstwie sztucznych tworzyw) i także drewniane biurko, przy którym siedział człowiek. I tak jak rano, ten człowiek obrócił się teraz razem ze swoim fotelem — tylko że teraz nie było żadnej kamery, która mogłaby znowu przybliżyć tę twarz: mocną i twardą, o skośnych, prawie indiańskich kościach policzkowych i przezroczyście, zielonych jak woda oczach. A potem Rob wstał i idąc po miękkim, uginającym się pod jego stopami dywanie, powiedział jakby nie było w tym nic dziwnego, że spotkali się właśnie teraz i właśnie tutaj:

— Witaj. — I uśmiechając się swoim niespodziewanym, trochę niesymetrycznym uśmiechem, dodał z leciutką drwiną, ciepłą i w jakiś sposób przyjazną, o którą nikt nie mógł się obrażać: — Powiniennem chyba powiedzieć — dzisiejszy bohaterze...

To wszystko było jak we śnie, tylko że nie zdarzają się sny z taką żelazną logiką, zawsze jest coś zakłócającego ciągłość i niezgodnego ze zdrowym rozsądkiem — a tu pamiętał wszystko, od rana, od swego przebudzenia. Rob patrzył na niego ciągle z tym samym uśmiechem.

Przekrzywił głowę — trochę tak, jak nasłuchujący pies. Powiedział:

— A więc to zaskoczyło ciebie najbardziej: że spotykasz tu właśnie mnie...

— Nigdy mi nie mówiłeś, że pracujesz w UKS-ie mruknął niezdarnie Joy, w tej samej chwili wściekły na własną nieporadność.

— Tego się raczej nie opowiada — powiedział Rob, stojąc tak samo jak przedtem, z tą lekko przechyloną głową. Sam zresztą się przekonasz... Mówił ci już Tancredi, że chcemy, żebyś tu z nami pracował?

— Tak. — Zrobił krok do przodu, zdecydowany tego przynajmniej się dowiedzieć: — Ale Tancredi wspominał o współpracy... Więc w końcu nie wiem: czy miałbym zostać etatowym pracownikiem UKS-u?

— Tak, tutaj innych nie ma. To, widzisz, jest jednak instytucja o pewnych, charakterystycznych... prerogatywach.

Odniósł niejasne wrażenie, że Rob próbuje coś mu podsunąć, podpowiedzieć, czy może: dopowiedzieć — jak przedtem Tancredi. Ale był ciągle jeszcze za bardzo zaskoczony i oszołomiony i jego mózg pracował jakby z opóźnieniem. Zapytał:

— Co miałbym robić?

— Poczekaj... — Rob przestał się uśmiechać, był teraz chłodny, skupiony i w jakiś sposób czujny. — Przecież ty wcale nie wiesz, jakie — dokładnie — jest przeznaczenie, sens i działanie tej instytucji. Nie wiesz nawet, co znaczy ten skrót: UKS.

— Nie wiem. Ale nikt tego nie wie. To znaczy dokładnie...

— No właśnie.

— Rob znowu się uśmiechnął miło, stwarzając tym uśmiechem jakieś porozumienie, jakąś bliskość. Zapraszającym gestem wskazał okrągły fotel po drugiej stronie biurka naprzeciw tego z którego wstał przed chwilą. — Siadaj. Muszę ci to wyjaśnić. Zresztą nie tylko to.

— Czy z każdym... kandydatem przeprowadza się taką rozmowę?

— Oczywiście. Możesz to sobie nazwać... choćby wtajemniczeniem... — Zaczekał, aż Joy

usiądzie, i zajął swoje miejsce na obrotowym fotelu. Odchylił się do tyłu, nie spuszczać z Joya ani na chwilę swoich uważnych oczu. Złożył ręce czubkami palców, nie stykając ze sobą dłoni, i znad tej ażurowej konstrukcji popatrzył znowu, z tym samym co i przedtem, troszeczkę kpiącym i bardzo miłym uśmiechem. Czekał — i Joy zapytał, Sądząc, że tamten czeka na takie właśnie pytanie:

— Powiedz mi, na czym właściwie polegałaby moja praca?

Dostrzegł, że Rob poruszył się w fotelu — zbyt chyba ostentacyjnie.

— Z początku — raczej na niczym. Ten pierwszy okres przeznacza się na naukę i zrozumienie pewnych prawidłowości, które każdemu z zewnątrz wydają się z początku cokolwiek... szokujące. Na adaptację do całkiem nowych warunków psychofizycznych, do których twój organizm nie jest przyzwyczajony.

— Nie rozumiem.

— Bo my zaczniemy od tego, żeby wyrzucić z ciebie to małe, platynowe świństwo, które od urodzenia nosisz zaszyte pod skórą...

— Synchronizator bioprądów'?

— Właśnie. To jednak jest urządzenie znacznie pomniejszające możliwości człowieka. Pomyśl: rozwijasz jakąś teorię, pracuje ci się wspaniale i nagle musisz przerwać, bo twój organizm wymaga siedmiu godzin snu. Przecież to nonsens.

— Uczono mnie, jeszcze w szkole wstępnej, że bez stabilizatora organizm ludzki szybciej się zużywa. Nikt nie potrafi bezbłędnie ocenić swoich potrzeb, wyważyć swoich możliwości.

— Na to wystarczy natura. Funkcje fizjologiczne, niezbędne człowiekowi do życia, obwarowane są przecież pewnym przymusem. Uczucie głodu... Pragnienie... Senność...

— Ale te bodźce człowiek może przecież opanowywać... Czytałem, że ludzie mogli nie spać po kilka dni, nie jeść jeśli na przykład byli czymś zaprzątnięci... ich organizmy zużywały się w nadmiernym tempie — póki nie założono synchronizatorów, osiągnięcie stu lat nie było dla nich możliwe...

Rob rozsiadł się wygodniej jakby zaczynał wykład, i trochę tonem wykładowcy powiedział:

— Mój drogi — jeżeli będzie trzeba, potrafimy wymienić ci właściwie wszystko: serce, płuca i nerki, żołądek, gruczoły dokrewne i wątrobę — chociaż wątroba opierała się próbom przeszczepów najdłużej. Wszystko, z wyjątkiem mózgu. Przy aktualnym stanie chirurgii transplantacji człowiek byłby właściwie nieśmiertelny, gdyby nie zużywanie się jego mózgu. A możliwości tego organu są tylko w części eksploatowane: wiesz przecież o tym, że człowiek wykorzystuje zaledwie jedną dziesiątą jego możliwości. Stabilizator zmniejsza to jeszcze. Ci, którzy tu pracują, to ludzie, których inteligencja przekracza iloraz 120. Te mózgi muszą zostać najpełniej wykorzystane, powinno się podporządkować całe ciało mózgowi, a nie odwrotnie. Powtarzam: każdy organ umiemy już wymienić — jeżeli tylko będziemy mieli dawcę — i to jest w końcu zupełnie prosty zabieg.

Urwał i patrzył teraz na Joya skupionymi oczami, siedząc bez ruchu, cicho, jak gdyby na coś czekał, jakby się czegoś — teraz właśnie — spodziewał. (Tylko że obraz krystalizujący się powoli Joyowi nie mógł być przecież prawdziwy — to byłoby za bardzo niesamowite, godzące we wszystko, co on o swoim świecie wiedział, więc nie zdobył się na pytanie, które logicznie wynikało z całej dotychczasowej rozmowy). Powiedział:

— Więc czemu...

— ...nie usuniemy wszystkich synchronizatorów. Właśnie, bo są kłopoty z dawcami. Skąd ludzkość miałaby brać te miliony serc, nerek, żołądków — gdybyśmy chcieli wymieniać je każdemu? To musi być rezerwa — dla tych, którzy naprawdę są niezbędni, naprawdę najważniejsi... Przerwał i czekał; tak samo jak poprzednio skupiony i napięty, w ten sam co przedtem sposób oczekujący na to



jakiś pytanie Joya, patrzący wciąż na niego nieruchomymi oczami. I Joy je teraz zadał, czując, że wkracza na jakiś śliski grunt, na drogę poznania, którego bał się, którego wcale nie pragnął.

— Więc należałbym do swego rodzaju elity? Wyodrębnionej ze społeczeństwa sfery, najwyższej kasty? Nie wiedziałem, że w naszym społeczeństwie są ludzie... bardziej albo mniej cenni...

— Jest dużo rzeczy, o których nie wiedziałeś, Joy.

Milczeli teraz obaj — w tamtej uważnej twarzy, nachylonej do niego przez biurko, było wyraźne napięcie, oczekiwanie na coś — na jakieś słowo, jakieś pytanie, które wyświekli wszystko zupełnie i ostatecznie. Joy szukał go przez chwilę, po omacku — znalazł je chyba, wychrypiął:

— Miałeś mi odpowiedzieć, co znaczy ten skrót: UKS...

— Urząd Kontroli Społeczeństwa.

— Jak to... — poczuł, że mu brakuje oddechu, ale tu trwało krótko, stabilizator wyrównał pracę serca. — Więc społeczeństwo jest kontrolowane. Przez kogo?

— Przez takich jak ty i ja. Najlepszych, wybranych dzięki Centralnej Kartotece. Tych, których iloraz inteligencji przekracza sto dwadzieścia. Jak twój.

Czując chłód w twarzy patrzył na Roba, nie zdając sobie sprawy, że zaciska palce na oparciach swojego krzesła. Powiedział cicho, zduszonym trochę głosem

— Przecież to niemożliwe. Żyjemy w społeczeństwie, gdzie wszyscy są sobie równi, mają te same prawa. Nikt nigdy nie może kierować czymkolwiek bez woli i zgody wszystkich ludzi, wbrew nim... Z tego, co mówisz, wynika, że to się dzieje bez wiedzy ludzkości, a przecież głównym założeniem Międzynarodowej Ogólnoludzkiej Federacji jest właśnie to, że wszyscy są o wszystkim informowani, że każdy uczestniczy w życiu całego globu. Że nie ma żadnych tajemnic, a nikt nie może wydawać decyzji, które nie byłyby uznane i zaakceptowane przez całe społeczeństwo...

— ...Więc to nieprawda, Joy — powiedział cicho Rob. Westchnął, rozplótł ściśnięte palce, położył ręce płasko przed sobą na biurku. — To właśnie staram ci się wyjaśnić przez cały czas. Joy. Staram się tak, jak umiem...

Znów się próbował uśmiechnąć, tylko że to tym razem wcale się nie udało. Dysząc tak jak po biegu Joy spytał chrapliwym, obcym głosem:

— Więc co jest prawdą, Rob?

Oczy tamtego wydały mu się płaskie jak dwa zielone kamyki. Teraz go nie oszczędzał — powiedział:

— Z tego, w co dotąd wierzyłeś! Nic... — I ciszej, bardzo łagodnie:

— Ja wiem, że to jest zawsze wstrząs. Joy... Dlatego prosiłem, żebym to właśnie ja mógł przeprowadzić z tobą tę rozmowę. Myślałem, że tak będzie ci łatwiej...

To było nie tylko niespodziewane, ale przerażające: świat, który znał i w którym przeżył dwadzieścia osiem lat swego życia, był nieprawdziwy, właściwie wcale nie istniał. To co nie było skłamanie, to był świat Roba — jemu zupełnie nie znany. Świat z którym nie umiał się pogodzić, którego nie mógł zrozumieć ani zaakceptować. Powiedział cicho, z jakąś żarliwą nadzieją, że to wszystko nie może być aż tak straszne, że rzeczywistość nie jest odwrotnością wszystkiego co znał, w co wierzył, i jeśli tylko zdoła ją zrozumieć, pogodzi się ze wszystkim.

— Wytłumacz mi to, proszę...

— Po to jest właśnie ta rozmowa — powiedział, prawie tak samo cicho, Rob. — Co chciałbyś wiedzieć najpierw?

Chciał odpowiedzieć: „wszystko”, ale — pomimo swego oszołomienia — rozumiał, że tamten nie jest w stanie wyjaśnić naraz wszystko. Powiedział:

— Nie mogę tego pojąć... Powiedz wyraźnie: więc Ziemią rządzi niewielka grupa wybranych,

tych którzy przeszli przez jakieś wasze... testy. Autokratyczna elita rezerwująca tylko dla siebie prawo podejmowania decyzji! Dlaczego. Rob? Dlaczego?

— Jeżeli ludzkość nie potrafiła powstrzymać nawet zagłady samej siebie na przestrzeni równej jednej czwartej powierzchni globu — nie licząc oczywiście mórz, które też zostały skażone — to znaczy, że jest zbyt słaba, okrutna albo po prostu głupia. Bo człowiek jest istotą zbyt szaloną. Można nim rządzić, ale nie można na nim budować. Tylko władza, skupiona w jednym ręku — dodajmy: wystarczająco silnym ręku, może ocalić mieszkańców tej planety przed nimi samymi...

Joy siedział nieruchomo — przez chwilę miał ochotę objąć czoło dłońmi, ale zaraz zawstydził się teatralności tego gestu. Teraz mu przerwał:

— To jest po prostu przemoc. Tyrania tych z ilorazem wyższym od stu dwudziestu nad całą resztą ludzkości...

Ale Rob nie dał się zbić z tropu. Mówił dalej:

— Mój drogi, społeczeństwem często rządzili najsilniejsi. Najpierw to były jednostki najsprawniejsze fizycznie: przywódca grupy siłą wymuszał sobie posłuch. Najbogatsi albo najlepiej urodzeni. Dlaczego by rozum nie miał być właśnie tą siłą, która nim rządzi. Siłą, której wszystko zostało podporządkowane” To przecież najsprawiedliwsze rozwiązanie ze wszystkich, jakie udało się kiedykolwiek wymyślić.

— To jest...

— Przeróżające? Może i tak. Ale — powtarzam konieczne. Przez kilka setek lat ludzie starali się poradzić sobie ze światem i z całą swoją techniką i cywilizacją którą udało się im stworzyć jak gdyby przez przypadek, skoro tak bardzo nie umieli nad nią panować... Ja nawet abstrahuję od wojny nuklearnej, bo gdyby to była jedna, jedyna rzecz, jaką ludzkości można by zarzucić, powiedziałbym: raz jeden ich to przerosło, wymknęło się im jakoś, ale tu chodzi o całość tej... działalności. No więc — starali się z tym sobie poradzić, tak jakoś mimochodem, jakby to wcale nie było takie ważne, przerzucając się od jednej ostateczności do drugiej, i zobacz, co zrobili zniszczenie jednej czwartej globu przez bomby atomowe, zanieczyszczenie atmosfery w wyniku ponawianych bezmyślnie doświadczeń nuklearnych... A kiedy było właściwie już za późno — zakaz jakichkolwiek prac w tej dziedzinie, zakaz, który zatrzymał fizykę jądrową na kilkadziesiąt lat w rozwoju. Przeludnienie, a potem nagły spadek liczby urodzin poniżej krytycznej, a jeszcze później — wzrastający w zastraszającym tempie procent ludzi o najniższym — właściwie graniczącym z debilizmem wskaźniku inteligencji, bo ci bezmyślni mnożyli się najbardziej, właśnie dlatego, że nie przyszło im do głowy, że są odpowiedzialni za spłodzone potomstwo — przed nikim, nawet przed tymi powołanymi przez siebie do życia istotami. A potem nagle debaty i projekt sterylizacji tych, u których wskaźnik inteligencji był aż tak bardzo niski, że nie mógł gwarantować ani inteligencji w następnym pokoleniu, ani też wychowania tych dzieci dla celów społeczeństwa. I jeszcze — o tym nie zapominaj także zniszczenie środowiska naturalnego w stopniu przerażającym. Że już nie wspomnę takich mniej ważnych faktów, jak powtarzane wielokroć niszczenie zapasów żywności przez jedne państwa, podczas gdy w drugich miliony umierały z głodu. Z głodu, Joy. Czy możesz sobie wyobrazić, jak się umiera z głodu?

Joy objął głowę rękami — teraz nie wstydził się już tego gestu.

— Przestań... — powiedział cicho. — Proszę cię, przestań...

— Dlaczego? Przecież to wszystko znasz. Przecież nie mówię niczego, czego nie byłbyś sam wiedział...

— Ale do dziś myślałem, że ludzkość potrafiła to przewyciężyć. Że miała dosyć siły, dosyć... mądrości, żeby wyjść z tego impasu. I dosyć dobrej woli, żeby w tym wytrwać — blisko sto lat.

— No więc już wiesz, że stało się inaczej. Że całe to... miotanie się ludzkości w nie zorganizowanych skurczach, z których nic nigdy nie mogło się narodzić, doprowadziło wreszcie do tego, że ci mądrzejsi, bardziej dalekowzroczni przejęli wreszcie władzę. I że zrobili za ludzkość to, do czego ona sama okazała się całkowicie niezdolna, stwarzając przy tym ten system, który, niemal bezbłędnie, działa od blisko stu lat — właśnie w interesie całego społeczeństwa.

Joy podniósł głowę: twarz miał ściągniętą i zmęczoną, jakby postarzał się nagle w przeciągu tej godziny.

— Powiedziałeś: w interesie społeczeństwa... Naprawdę myślisz, że to, co zrobiliście — to, co robicie — poprawił się natychmiast — jest właśnie najlepszym, jedynym rozwiązaniem, mogącym całej ludzkości zapewnić szczęście?

— Oczywiście. Joy. Nędza i głód zniknęły wreszcie z powierzchni Ziemi. Nie ma wojen i nie ma granic. Zniszczyliśmy nietolerancję, bezmyślne okrucieństwo, nienawiść...

— Za jaką cenę. Rob? Za cenę możliwości człowieka, poświęcając to, co jest w nim najbardziej wartościowe: wolną wolę, możliwość wyboru...

— Zrozum, to było naprawdę konieczne, żeby istocie ludzkiej zapewnić jakieś minimum — żeby to swoje życie mogła przeżywać bez strachu i bez cierpień — przynajmniej nieuniknionych. Przeszkodzić ludziom w tym, żeby mogli wymyślać i wprowadzać coraz to nowe metody unicestwiania się nawzajem, zabijania, torturowania, niszczenia coraz to nowych połaci tej planety... Opanować dokonane zniszczenia, odwrócić je, uchronić środowisko naturalne człowieka od ostatecznej zagłady, zmniejszyć o tyle zło, o ile to możliwe, o ile to zależy od ludzkich możliwości. A to się dało zrobić tylko za cenę całkowitego odsunięcia ich od władzy, odebrania rządów, których właściwie nie pragną, skoro od lat wystarcza im iluzja, którą stwarzamy... To oczywiście wymagało opracowania systemu, stworzenia dla ludzkości nowej... zabawki, w miejsce tych, które odebraliśmy...

— I to się wam udało?

— Jak widzisz. Powiedz mi: czy kiedykolwiek, przez całe swoje życie, spotkałeś chociaż jednego człowieka, który nie byłby w końcu zadowolony? Milczysz... Bo ludzie są jak dzieci, trzeba ich tylko czymś zająć, stworzyć im pewne wzorce, modele postępowania. A to się nam udało.

— Jak?

— To proste, Joy. Rozbudzenie pragnień, których zaspokojenie staje się sprawą nadrzędną. Programowanie sytuacji, tworzenie pewnych bodźców determinujących działanie...

— A więc — propaganda?

— Nie tylko. Ten środek, stosowany w nadmiarze i zbyt nachalnie, prowadzi do całkiem odwrotnych reakcji. Przekora. Bunt. Niewiara we wszystko, nierozumna, dla samej zasady. Negacja... To wnosi być subtelniejsze. I to jest cały system, system bodźców psychicznych: wychowanie, programy szkół, TV, reklama, tworzenie atmosfery, marzeń i wzorców pożądaných z naszego punktu widzenia. Cóż, my właściwie nie wymyśliliśmy tu nic nowego. Nasza działalność polegała tylko na udoskonaleniu tego co zawsze istniało. Odgórne kształtowanie, programowanie i sterowanie uzasadnionych z punktu widzenia ludzkości zachowań jest tak samo stare jak sama ludzkość. Różnica jest tylko ta, że my robimy to całkiem świadomie, wiedząc, do czego może nas doprowadzić, i nigdy się nie myląc.

Po drugie — te wzorce są i zawsze były wymienne, a to dowodzi, że są umowne i bez większego znaczenia, że to jest kwestia chwili i jej jakiegoś klimatu... co w danej sytuacji uznane będzie za dobre, niezbędne, społecznie uzasadnione. Nie, Joy — my naprawdę nie narzuciliśmy ludzkości czegoś, co by jej było nie znane. Umiejętne wykorzystanie jej cech — to wszystko.

Odwrócił się w fotelu i chwilę patrzył w okno. Po chwili spojrzął znowu.

— No więc udało nam się stworzyć ten jakiś model społecznie najmniej szkodliwy. Skonstruowano hierarchię pewnych potrzeb, których zaspokojenie zabiera ludziom właśnie tyle czasu, ile potrzeba, żeby nie mieli kiedy myśleć o sprawach... powiedzmy: dla nich samych szkodliwych. Pół życia zużywasz na to, żeby zapewnić sobie posiadanie tych rzeczy, które — dzięki odpowiedniej reklamie, urobieniu opinii publicznej i tym podobnym uwarunkowaniom, uważasz za niezbędne. Drugie pół życia zajmują ci rozrywki — jak wykazuje statystyka: rozrywki coraz, coraz bardziej prymitywne...

— I to was nie przeraża? Przecież dowodzi, że rzeczywiście udało się wam zrobić z ludzkości manekiny. Sterując każdym ich krokiem, wszystkimi marzeniami i pragnieniami. Ograniczając wszelką swobodę wyboru — och, to udało wam się doprowadzić istotnie do perfekcji: komiksy zamiast marzeń, trzywymiarowe, kolorowe giganty super cinemascope i telewizja super-ekstra-star, pozwalająca per prokura przeżywać nawet doznanie erotyczne. Homo ludens, którego stworzyliście...

— I znów się mylisz. Nie trzeba było nic stwarzać. Ludzkość uwielbia się bawić, tylko że jej... zabawki bywają niebezpieczne. Wieszanie, trucie, palenie podobnych sobie istot, tępienie zwierząt na niższym szczeblu rozwoju... Dam ci przykłady rozrywek, jakie tworzyła sobie ludzkość póki nie wkroczyliśmy z systemem super-ekstra-star gigantofonami, trzywymiarowymi filmami i tym wszystkim, co ty nazywasz jakimś... obniżaniem możliwości ludzkich. W czternastym i piętnastym wieku jedni ludzie palili innych na stosach, o czym powinieneś być chyba czytać, ćwiartowali i łamali im kości, a bardzo długo każdy rodzaj karni był widowiskiem, na które cisnęły się całe tłumy ciekawych. Przez wiele wieków najulubieńszą rozrywką ludzkości zamieszkującej część Europy i Ameryki Południowej było patrzenie, jak człowiek zabija zwierzę, byka, z tym że ten byk był przedtem specjalnie przygotowywany do walki, rozjuszany za pomocą stalowych kolców wbijanych w jego ciało, kłuty włóczniami, żeby wykrwawił się i osłabł. To zresztą wcale nie była jedyna zabawa tego typu: w różnych regionach ziemi organizowano walki kogutów, które zadziobywały się nawzajem, wielbłądów przegryzających sobie tętnice, psów, nawet przepiórek. Co powiedziałbyś o sporcie, którego główną zasadą było, by jeden z przeciwników zamroczył drugiego, przyprawiając — najczęściej o wstrząs mózgu albo łamiąc mu szczękę... Ten sport nazywał się boksem i został zabroniony dopiero w dwudziestym pierwszym wieku...

Joy siedział nieruchomo, błądy pod jasną, wiosenną opalenizną. Powiedział (mówiło mu się z trudem, jakby coś zaciskało szczęki): — Nie mogę w to uwierzyć...

Rob wstał zza biurka (ścierpł chyba, ta ich rozmowa trwała już długo) i zaczął chodzić po dywanie uginającym się pod jego stopami jak trawa: nie było słyhać kroków.

— Ja nie wymagam, żebyś mi wierzył, Joy. Wiem, że to jest za dużo, że to wszystko dla ciebie jest zbyt silne. Kiedy już będziesz z nami, przestudujesz te wszystkie materiały dotyczące niechlubnej przeszłości człowieka, które zostały... wycofane z obiegu, poznasz sprawy, o których się dziś milczy. W dwudziestym wieku na przykład instalowano specjalne ośrodki — to wtedy nazywano lagrami w których doprowadzano ludzi systematycznie do wyczerpania fizycznego i psychicznego, a potem truto gazem w specjalnie do tego celu przeznaczonych komorach. I — także w dwudziestym wieku — jedno z ówczesnych mocarstw wpadło na pomysł tępienia ludzi innej rasy przy pomocy tak zwanej broni bakteriologicznej, bomby, zawierającej bakterie tyfusu, cholery i chyba jeszcze dżumy. Nie powiedziałem ci nawet tysięcznej części tego, co można by powiedzieć na ten temat, a przecież i tak powiedziałem ci, jak na pierwszy raz — za dużo. Tylko że większość rozmów z naszymi kandydatami przebiega mniej burzliwie. Jedyne, co szokuje, to nagle odkryta dwupoziomowość

naszego społeczeństwa, z którą się zresztą dość szybko godzą, kiedy się dowiadują, że będą teraz członkami warstwy. Ty jesteś nadwrażliwy...

Żałuję, że nie miałem cię dłużej pod obserwacją. To moja wina: zdawało mi się jakoś, że ciebie znam, nie przewidziałem aż tak ostrych reakcji. Powinienem mniej ufać sobie, przedłużyć okres nadzoru.

Właściwie po tym wszystkim nic nie powinno go już zaskoczyć, a jednak Joy pomyślał, że musiał źle usłyszeć. Powtórzył:

— ...okres nadzoru? A więc — mieliście mnie pod obserwacją? Jak to... Jak to rozumieć, Rob?

Ten przystanął i stał na środku gabinetu — zamyślony, wysoki i szczupły. Powiedział z przymusem

— Zrozum to, Joy, cały nasz system nie mógłby funkcjonować, gdyby nie istniał system kontroli społeczeństwa, jego nastrojów, odczuć i myśli, zachowań wreszcie. Ankiety i obserwacje nie zawsze wystarczają. Ale na szczęście mamy środki — trzymane zresztą jak wiele rzeczy w zupełnej tajemnicy — pozwalające wiedzieć, praktycznie rzecz biorąc, wszystko o każdym z ludzi, jeśli to jest potrzebne.

— W jaki sposób?

— Mój drogi, przecież od stu lat z górą istnieją możliwości wykrywania i kontrolowania wszystkiego: słów, czynów, reakcji ludzkich... No tak, ty o tym nie wiesz, to zawsze było ściśle tajne. Przepraszam cię, zaczynam być zmęczony... i ze swoim zwykłym uśmiechem, którym od lat rozbrajał Joya tak łatwo, dodał: — Miałem dziś trudny dzień, od rana, zanim przyszedłeś. Ale to nic. Ja, widzisz, nie mam stabilizatora i mogę podporządkować mojej woli funkcje organizmu. Zaraz się wezmę w garść.

Podszedł do biurka i stał tak nieruchomo patrząc w nieduży aparat, podobny trochę do magnetowidu, w którego płaskim ekranie wiły się kolorowe linie. Joy, śledząc oczami jego ruchy, teraz dopiero dostrzegł ten aparat.

Rob mówił dalej spokojnie, właściwie bardziej do siebie niż do Joya:

— Minimikrofony, kamery i nadajniki sprzężone z systemem zapisu mogą cię śledzić noc i dzień. To zresztą też żadna nowość — większość tych rzeczy została wymyślona przed Wielką Nuklearną — myśmy to tylko w jakiś sposób odziedziczyli...

„Więc na tej przeklętej planecie, jaką jest teraz Ziemia, nikt nie ma już swego życia dla siebie” — pomyślał Joy.

— Pomyślałeś, że nikt już nie ma swojego życia dla siebie... — powiedział cicho Rob, jakby był echem jego myśli.

— Możesz znać moje myśli?

— No nie, tak dobrze nie jest. Powiedzmy: z dużym prawdopodobieństwem mogę je odgadywać. Jesteś pod obserwacją przyrządów: rejestrowanie skali twojego głosu, pomiar temperatury ciała itp. Kiedy się pocisz, wiem o tym także i mogę wyciągnąć wniosek, że pocisz się z emocji. Jakie to są wrażenia: negatywne czy pozytywne, mogę wnioskować z całego toku rozmowy. Po prostu — trochę psychologii, mój stary... tego się tutaj każdy musi nauczyć. — Oparł się ręką o biurko, naprawdę był zmęczony. Jeśli nie jesteś ze mną, w tym samym pomieszczeniu, mam do dyspozycji jeszcze wizję i fonię...

A więc ten dziwny aparat na biurku Roba służył właśnie do tego.

— Każdy z nas, zawsze, jest w taki sposób... obserwowany?

Rob patrzył na niego spokojnie, jakby nie widział, nie czuł narastającej w nim nienawiści, jak gdyby nie sygnalizowały jej światełka aparatu. A potem odszedł od biurka (i Joy był mu za to

wdzięczny). Powiedział:

— No nie... To jednak droga impreza, wiesz. I nie ma żadnej potrzeby, żeby w ten sposób... ewidencjonować każdego człowieka. Nie są aż tacy ważni; oni i ich reakcje (i teraz w jego głosie było lekceważenie, z którego chyba nie zdawał sobie sprawy). Te reakcje są zresztą dość typowe. Mógłbym powiedzieć, że oni — działają zgodnie z programem. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci opowiedział, jak bardzo łatwo jest prognozować to całe społeczeństwo, złożone z dość typowych jednostek. Ich reakcje można przewidzieć z góry, są całkowicie sprawdzalne... „Nadczłowiek” — pomyślał z nowym nawrotem niechęci Joy. Rob chodził ciągle, jakby umyślnie nie zatrzymując się przed biurkiem; w tym jego kocim stąpieniu nie czuło się znużenia, widocznie umiał je, naprawdę opanowywać.

I Joy — człowiek ze stabilizatorem bioprądów wszczepionym od lat pod skórę — poczuł się teraz czymś niższym — gorszym rodzajem człowieka.

— Więc, jak już powiedziałem, pełną kontrolę stosuje się niezmiernie rzadko i tylko w pewnych, wyjątkowych przypadkach. Jednym z nich bywa właśnie sytuacja, kiedy musimy jak najwięcej dowiedzieć się o naszym kandydacie. Tu nie wystarczą dane z Centralnej Kartoteki, choć, oczywiście, wszystko się od nich zaczyna. Musimy wiedzieć wszystko, no — prawie wszystko, Joy, bo nam nie wolno się mylić. Zbyt wiele szkody mogłoby zrobić przyjęcie do UKS-u kogoś, kto nie byłby zupełnie... odpowiedzialny. Jeżeli chodzi o kontrolę całego społeczeństwa, wystarcza nam posiadanie skomputeryzowanego sprzętu elektronicznego, aparatury kontrolującej wszystkie obwody telewideofoniczne, linie kablowe i transmisje prowadzone na falach ultrakrótkich. Komputery są tak zaprogramowane, że wychwytyją słowa lub zdania będące „sygnałami”: kiedy natrafi się na taki sygnał, cała treść nagrywana jest albo zapisywana. Dopiero gdyby w zapisie znalazło się coś niepożądanego, zidentyfikowalibyśmy osobę przy pomocy fotonogramu...

— I co wtedy robicie?

— To jest ten drugi wypadek, kiedy bierzemy człowieka pod obserwację indywidualną.

Joy odczuł wyraźnie, że tamten chciałby coś przemilczeć, ominąć. Właśnie dlatego nacisnął:

— A jeśli się okaże, że to jest ktoś, mogący... zagrozić tej całej waszej konstrukcji?

Rob stał bez ruchu. Milczał długo. Wreszcie powiedział cicho

— Joy, ty pewnie nie zechcesz mi uwierzyć... Ale ja nie wiem. Po prostu dlatego, że odkąd jestem w UKS-ie, przez wszystkie te lata to jeszcze nigdy się nie zdarzyło...

Musiał być jednak zmęczony, choć umiał nad tym panować w sposób dla Joya nieosiągalny: miał podkrążone oczy, skóra na twarzy napięła się jakby — ta twarz była teraz ściągnięta, wysokie kości policzkowe widać było wyraźniej. Usiadł w fotelu, przymknął na chwilę oczy. „Ja bym już musiał zasnąć” — pomyślał Joy z niezrozumiałą zazdrością, bo przecież to, czego mu tak zazdrościł, było na pewno, stanem nie sprawiającym najmniejszej przyjemności — więcej: dotkliwie przykrym. Powiedział głośno, wypowiadając tę myśl, która dręczyła go już od chwili:

— Więc społeczeństwo ludzkie składa się z swego rodzaju cyborgów, żyjących w izolacji od tego, co dzieje się istotnie z tą planetą, ogłupianych dozowanymi im umiejętnie pragnieniami, robotów o programowanych reakcjach, znajdujących się pod nieustanną kontrolą, rządzonych przez super mózgi, przeciw którym nie mogą się zbuntować, bo o nich nawet nie wiedzą. Tacy jesteśmy wszyscy. Ja też.

— Nie. — Rob otworzył swoje jasne, nieomal przezroczyste oczy. Nie było w nich niepokoju ani wahania, swoje prawdy uważał za oczywiste, jedyne i niepodważalne. — Nie. Ty właśnie dostałeś szansę, żeby należeć do tych, którzy wpływają na losy tej planety, najlepszych... Tych, którzy w rękę trzymają losy gatunku homo sapiens...

Joy schylił się przez biurku, ich twarze były teraz bardzo blisko siebie.

— A jeśli... nie zechcę, Rob? Co ze mną wtedy zrobicie? Ale w zielonych oczach — wroga?, przyjaciela?, a może teraz już tylko: przeciwnika — nie dostrzegł groźby, zaś w głosie Roba było już tylko znużenie i trochę żalu:

— Zostaniesz asystentem profesora Tancredi. Jeżeli zechcesz, oczywiście. To, co robimy, uważasz wprawdzie za przymus, ale pomimo wszystko... nie stosujemy przemocy.

— Więc ci... z ilorazem wyższym od stu dwudziestu, mogą robić coś jeszcze w tym waszym społeczeństwie? Nie muszą znaleźć się po jednej stronie z wami?

— Nie. — Teraz w tej twarzy było już tylko zmęczenie. Jak ty to sobie wyobrażałeś. Joy? Do tego nie można przecież ludzi zmuszać, ci, którzy tu pracują, muszą uwierzyć w celowość tego wszystkiego. Czasem zdarzają się ludzie odrzucający tę... ofertę. Czasem — już na etapie obserwacji wstępnej, stwierdzamy u kandydata cechy psychiczne, powodujące, że rezygnujemy sami jeszcze przed pierwszą rozmową. Wtedy ich nie ruszamy... To nieraz są jednostki dużego formatu, tyle że w jakimś sensie skrzywione psychicznie: zbyt miękkie albo zbyt łatwowierne, nie umiejące się z pewnymi sprawami... chciałem powiedzieć: nie umiejące podporządkować się pewnym prawom. Poza tą jedną słabością to są naprawdę wybitne jednostki, mam na myśli: wybitnie inteligentne. Znasz nawet kogoś takiego.

— Tancredi?

— Tak, Tancredi. On jest naprawdę wspaniały, ale się boi. Boi się prawdy i nie potrafi jej przyjąć. Nie stać go na współpracę, zamknął się w swoich teoriach i badaniach... Jest mądry, ale słaby.

— Skąd wiesz, czy ja nie jestem w taki sam sposób... słaby?

— Ty? Ty jesteś zbyt ambitny. I jeszcze ty szukasz w życiu prawdy. Możesz odrzucić ją lub przyjąć, ale nie zdołasz udawać przed samym sobą, że nic nie wiesz... że ta rozmowa nigdy się nie odbyła.

— Dobrze mnie znasz.

— Tak, chyba tak... Już ci to przecież mówiłem: byłeś pod moją specjalną obserwacją.

Milczeli dłuższą chwilę i w ich milczeniu była teraz odrobina niechęci, znużenie — tym razem obustronne. Joy patrzył chwilę w okno, powiedział:

— Odebraliście ludzkości jakąś szansę...

— Żeby człowiek sam pojął... zrozumiał?

— Takiej szansy nie było

— O tym, że nie ma, zdecydowaliście wy.

— Najlepsi i wybrani przedstawiciele gatunku homo sapiens. Uważasz, że nie mieliśmy prawa?

— Nie. Bo może ludzkość spytana przez was o zdanie odpowiedziałaby, że woli po dawnemu cierpieć i błądzić, upadać i podnosić się znowu, ale iść naprzód...

— I zginąć...

— Być może nawet: zginąć. Tu może lepsze niż to, co wam udało się stworzyć. Jak gdyby jedynym celem, jedynym zadaniem człowieka było: przetrwać. Przetrwać za każdą cenę. Nawet okaleczenia samych siebie.

Milczeli teraz obaj, prawie tak samo znużeni i Joy pomyślał, że to zmęczenie wyeliminowałoby go z dyskusji w niedługim czasie — jeśli by nawet przyjąć, że dalsza ich rozmowa mogła być celowa w jakikolwiek sposób. Ale nie była. I wiedząc o tym dorzucił:

— W dwudziestym wieku wszyscy myślący ludzie wierzyli, że kiedyś każdy człowiek dojdzie do tego, że będzie mógł zrozumieć człowieczeństwo własne i innych, że bezsens niepotrzebnej śmierci,

walki i głodu, bezmyślności i okrucieństwa zostanie odrzucony z pełną świadomością... Wy zniszczyliście na zawsze tę możliwość...

Wstał; stali naprzeciw siebie, zmęczeni jak bokserzy o których mówił mu Rob, jak tamci wyczerpani zupełnie walką.

— Taka możliwość nigdy nie stała przed ludzkością — powiedział cicho i szybko Rob. — Powiedziałem ci już: to utopia. Żeby zrozumieć to wszystko, trzeba mieć to, czego oni zostali pozbawieni — bez swojej winy zresztą...

— Inteligencja. Wiem. Iloraz wyższy od stu dwudziestu. Już mi to powiedziałaś. Ale to ty się mylisz, wy wszyscy się mylicie, Rob. Jest jeszcze coś więcej i to stanowi o istocie człowieczeństwa, chociaż jest niewymierne... Ja tego nie potrafię teraz sprecyzować, określić. To jest po prostu zrozumienie siebie i innych — to może znaczyć, że człowiek w jakimś stopniu — nie ściśle, nie w medycznym sensie powinien myśleć sercem...

Urwał, bo to zabrzmiało bardzo naiwnie i głupio. Przeciągnął ręką po twarzy, była wilgotna od potu.

Powiedział prawie pokornie: — Ja muszę już iść. Rob. Jestem bardzo zmęczony. Ja, wiesz, nie mogę nad tym panować. — I upokorzony tym oczywistym wyznaniem, świadomością tego kalectwa, które zostało mu sztucznie narzucone (a które on — aż do tego dnia — uważał za uzasadnioną korektę swojego organizmu), dodał z niespodziewaną, martwą i nie wiadomo przeciwko komu wymierzoną nienawiścią:

— Mam przecież stabilizator... Zrobił krok naprzód i chciał wyminąć Roba stojącego przed nim, ale tamten wyciągnął rękę, zatrzymał go, opierając ją lekko na jego przedramieniu, i Joy zobaczył zmieszanie i udrękę w tej — jakże znanej — twarzy.

— Zrobiłem chyba błąd. — Jego oczy patrzyły pytająco, prawie prosiły o coś. — Powiedz mi, Joy... wolałbyś tego nie wiedzieć?

— Nie. — Stał nieruchomo, skupiony, wsłuchany bardzo uważnie w narastające zmęczenie, w to wszystko, co było jakoś nim samym: gorycz i rozpacz, i rezygnacja także. Pomyślał: „Gdyby nie to, że Rob zaufał bardziej sobie niż ich aparatom, nie byłbym nigdy wiedział. I może — byłbym szczęśliwy, w jakiś kaleki sposób zadowolony i szczęśliwy, pracując z profesorem Tancredi i wierząc, że świat wygląda naprawdę tak, jak opisałem w mojej teorii społeczeństwa. Ich aparaty wykazałyby tę moją... wadę psychiczną i ta rozmowa nigdy by się nie odbyła”. Powiedział szczerze: Zawdzięczam tobie, Rob, że nie zostałem pozbawiony prawa wyboru. To przecież bardzo dużo.

Chłodne spojrzenie Roba przypominało teraz oczy profesora Tancredi; tak samo starało się coś dopowiedzieć, przekonać. Powiedział cicho i w jakiś sposób żarliwie:

— Joy, ja poczekam. Trzy, nawet cztery dni. Nie działaj zbyt pochopnie, zastanów się, przemyśl to sobie jeszcze. Jeśli odrzucisz tę szansę... Zrozum: ty tylko tutaj będziesz na swoim miejscu. Może cię nie umiałem przekonać, ale naprawdę: wszystko, co mógłbyś robić tam, byłoby tylko nieporozumieniem. Ty nie potrafisz oszukiwać samego siebie. A wiesz zbyt dużo, żeby móc żyć spokojnie.

Joy go nie słuchał. Odwrócił głowę i chwilę patrzył bez zainteresowania na luksusowy gabinet. Powiedział pozornie bez związku

— Takie rozmowy mogą być ryzykowne...

Ale Rob go rozumiał. Nie mógł powstrzymać uśmiechu i to był uśmiech starszego trochę brata, patrzącego z życzliwym zainteresowaniem, jak młodszy, a więc mniej doświadczony i bardziej impulsywny, dręczy się rozwiązaniem problemu, który dla niego od dawna jest oczywisty.

— Zdziwisz się, ale nie. My przecież rozmawiamy tylko z takimi, których iloraz inteligencji



przekracza sto dwadzieścia. A to jest dosyć — przynajmniej na to, żeby... nie starać się przebijać głową muru. Zrozumieć, że jest za późno, by można było... działać przeciwko nam.

— Ale ktoś przecież mógłby powiedzieć, zdradzić ludziom...

— Że są oszukiwani? — Rob nie poruszył się, nie drgnął, ale Joyowi wydało się, że westchnął. — Mój drogi, przecież by ci nie uwierzyli... Zawsze nienawidzili tych, którzy usiłowali zmuszać ich, żeby wiedzieli prawdę. Czasy, w których kamienowano albo palono tych, którzy odkrywali ludziom niechciane prawdy, minęły dosyć dawno, ale uznają cię po prostu za nieszkodliwego wariata. Nikt cię nie będzie słuchał, będziesz po prostu śmieszny. Bo oni nie chcą wiedzieć; jest im z tym dobrze, wygodnie. I zapamiętaj nikomu nie pozwolą zniszczyć swojej ułudy, nigdy ci nie przebaczą, jeśli zmusisz ich do myślenia...

Stał, milcząc bardzo długo — bo przecież na to nie było żadnej odpowiedzi. A potem Rob powiedział:

— Joy, to tylko tobie wydaje się czymś strasznym to społeczeństwo, które uważasz za psychicznych kastratów. Oni w jakiś sposób chcieli być kastratami i myśmy tylko to ich marzenie spełnili. Pomyśl: przynajmniej na początku niektórzy musieli się jednak czegoś domyślać. I nikt nie zaprotestował. Nikt i nigdy. — I tylko trochę ciszej: Musisz być z nami. Nie masz innego wyjścia.

— Mam. — Powiedział tylko tyle, starając się nie ulec tej jakiejś niewypowiedzianej prośbie. A potem, szybko, nie mogąc się jednak powstrzymać, zły na siebie i Roba, że w jakiś sposób wymusił z niego te słowa: — Dowiesz się. Może już jutro. Może nie będziesz musiał czekać na to trzy dni.

Tym razem Rob już nie próbował go zatrzymać. Joy przystanął przed drzwiami, jeszcze nim zbliżył się do nich na tyle, aby uruchomić fotokomórkę. Zapytał:

— Mogę już iść?

Rob skinął głową, ale się nie poruszył. Powiedział matowym, nieznacznie schrypłym głosem:

— Wybacz, ale nie mogę cię teraz odprowadzić. Mam jeszcze trochę pracy...

Przeszedł przez korytarze, minął wejściowe drzwi i znalazł się na ulicy. Przystanął na skrzyżowaniu. Światła: czerwone, zielone, fioletowe i żółte, migały przed nim, szeroką jezdnią przelatowały nieliczne autoloty — nieomal bezszelestnie; po każdym takim przejeździe czuł na twarzy podmuch ciepłego powietrza. Stał nieruchomo, nie mogąc zdecydować się na trzy kroki, dzielące go od eskalatora, zasłuchany w łagodną ciemność zmierzchu. Głosy wymijających go ludzi biły w niego falami, prawie z tą samą łagodną natarczywością, z jaką muskały go prądy powietrza wywoływane przez autoloty. Wsłuchał się w nie, sprężony i podświadomie oczekujący czegoś, co mogło przecież nadejść. Głosy wciąż biły w niego, ściszone, odrealnione w mroku:

— ...i on w tej swojej maszynie trzy razy przelatuje nad tą dziurą, a wtedy sala zaczyna tupać i klaskać...

— ...oczywiście, że głosowałem na niego, widziałem go w TV — jest taki sympatyczny i wiesz — używa nawet całkiem zwyczajnych perfum...

— ...to było idiotyczne, te jakieś ich granice, ale wtedy ludzie byli na niższym stopniu rozwoju. Żał mi ich zawsze, jak sobie o tym pomyślę: ja teraz mogę jechać na urlop do Tasmanii, a oni, biedacy...

— ...Parisette—super, oczywiście. Och, taka jestem szczęśliwa. Drogie, ale...

Stał nieruchomo, wsłuchany w gładką ciemność, w te mijające go głosy — bez żalu, bez zawodu, czując, jak pustka rozrasta się w nim coraz bardziej, i nie starając się już niczego potępiać ani niczego usprawiedliwić. Zanurzony w mroku, osamotniony pomimo mijających go ludzi (a może właśnie dlatego) przypomniał sobie Roba — jasnozielone oczy, twarz zwarta i mocna. Pomyślał: „Więc rzeczywiście nie mam innego wyjścia”.

A potem wezwał autolot, bo nagle zaczął się śpieszyć, i chciał, żeby to, co ma zrobić, co sobie postanowił, zostało jak najszybciej dokonane, żeby to się po prostu zamknęło i skończyło: ten dzień i ten wieczór, i tamte myśli także. Wiedział, że to jest całkiem proste i że nie będzie wymagało od niego prawie żadnego wysiłku, i tylko chciał, żeby stało się szybko i bez niepotrzebnej zwłoki. Pomyślał: „Nie jadłem nic od rana”, czując bolesny skurcz żołądka, ból, jakiego dotychczas nie umiałby sobie wyobrazić, i dziwiąc się, że stabilizator mógł o tym w jakiś sposób zapomnieć; że wcześniej nie zasygnalizował mu tej potrzeby.

„Może to dotąd nie było takie konieczne — pomyślał jeszcze. — Jest przecież właśnie po to, żeby o takich sprawach decydować. On się nie może mylić”.

Teraz to było konieczne — stabilizator zmusił go ostrym bólem, żeby zapomniał o wszystkim, o całym minionym dniu i wszelkich uczuciach także, więc kiedy znalazł się w swoim mieszkaniu, musiał zacząć od tego, żeby usłuchać go i uciszyć, odkładając na chwilę to, co miał zrobić, jedyne, co naprawdę było w tej chwili ważne. I stojąc przy malutkiej kuchence z jakimś gorącym daniem, którego smaku nie czuł, nie wiedząc prawie, czym zaspokaja ten dziki, ostry głód, powiedział sobie

„Więc nawet teraz nie mogę być człowiekiem. Więc oni odebrali mi nawet to? I zaraz potem, wciąż jeszcze jedząc, pomyślał, że dotychczas nie zastanowił się jeszcze, w jaki sposób to robi, nie wiedział nawet, co może być najszybsze, najskuteczniejsze i najmniej bolesne. Skończył, postawił talerz i chwilę stał spokojnie, z opuszczonymi rękami, oddychając głęboko i równo, wsłuchany w ten swój oddech: spokojną i rytmiczną pracę własnych płuc — napełniających się z wolna powietrzem, przekazujących tlen w nim zawarty do naczyń krwionośnych — umożliwiającą istnienie jego ciała. Wiedział już, jak to robi — odwrócił trochę głowę i patrzył w ciemne, wieczorne niebo — nie czarne, tylko świetliście fioletowe, nabierające tego odcienia od łuny wielkiego miasta, które leżało pod nim, a teraz także pod Joyem, stojącym ciągle bez ruchu w swoim niewielkim mieszkaniu na trzydziestym piętrze wieżowca.

Zebrał serwetkę i plastikowy talerzyk i wrzucił je do zsypu, potem bardzo dokładnie umył nad zlewem sztućce i włożył je do suszarki. Odczekał, póki nie były suche, i tak jak zwykle, jak co dzień, odłożył je na miejsce. Stał jeszcze chwilę — i to nie była niepewność czy wahanie: wiedział, że zrobi to zaraz i chciał to zrobić spokojnie, bez zbytecznego pośpiechu.

Przeszedł do pokoju i tu przystanął znowu: czuł teraz lekkie mdłości, ale to także nie oznaczało strachu: po prostu nigdy jeszcze nie jadł aż tak pospiesznie i po tak długiej przerwie. Nie czuł najmniejszej emocji i tylko jego serce nieznacznie przyspieszyło swój rytm — to przyspieszenie znowu wydało mu się niemrawe, krótkotrwałe i sztucznie kontrolowane — nieprawdziwe tak jak on sam. Pomyślał: „Więc zrobię jeszcze to” zdumiony, że ta możliwość nie przysłała mu wcześniej do głowy, że stracił tyle czasu na niepotrzebne czynności, których by mógł uniknąć, gdyby ten sposób oswobodzenia się uświadomił sobie, choć trochę wcześniej. Wrócił do kuchni i zaczął szukać czegoś, co byłoby dość ostre, ale nic takiego nie znalazł. Odwinął rękaw i popatrzył na swoje nagie przedramię; poruszył lekko palcami i jego mięśnie sprężyły się pod skórą. Błękitnym śladem znaczyły się linie żył, tętnica na przegubie dygotała miarowo rytmem zsynchronizowanym w sposób doskonały ze skurczami jego serca. Pomyślał: „maszyna precyzyjnie i bardzo dokładnie opracowana przez naturę”. To wszystko mógł w każdej chwili zniszczyć, tyle przynajmniej leżało w jego mocy, nad tym pozostawiono mu władzę. Popatrzył na niewielką bliznę, trochę powyżej łokcia, pomyślał znowu: „Maszyna. Skorygowana w sposób zwiększający jej przydatność z punktu widzenia społeczeństwa”. Znowu przypłynęła lekka fala mdłości, przełknął ślinę, udało mu się to pokonać. Płytko, pod białą blizną (wiedział, że musi być płytka: czuł tę niewielką wypukłość, poza tym widział dwukrotnie, jak wymieniano mustabilizator), siedziało to maleństwo: korekta jego zbyt gwałtownych odruchów,

spokój i równowaga — wygodna, odbierająca tylko wszelki autentyzm jego uczuciom, a także jego fizjologicznym procesom. „Więc to jest tylko tyle: spróbować być człowiekiem, nawet jeżeli człowieczeństwo niesie z sobą przerażenie i mękę, ból i okrucieństwo. Zaznać tych uczuć przed tym, jeśli się nie poznało ich nigdy przez całe swoje życie”.

Spróbował najpierw zębami, ale to było zbyt bolesne, więc podniósł głowę i bez zainteresowania popatrzył na siny ślad, jaki pozostawiły na skórze. Gdyby poszukał jeszcze, na pewno znalazłby jakieś narzędzie, którym by mógł się posłużyć, ale nie chciało mu się rozpoczynać tych poszukiwań; przeszedł znów do pokoju — na stole stała waza z prawdziwej ceramiki (okaz nieomal muzealny, ofiarowany mu kiedyś przez Roba). Zgarnął ją na podłogę, a potem przykląkł i wybrał spomiędzy skorup tę, której krawędzie wydały się najostrzejsze. Wciąż klęcząc wbił ją w przedramię — ból szarpnął w łokciu, kręty strumyczek krwi zaczął spływać po skórze. Z zaciśniętymi zębami, czując wilgotność potu występującego na całym ciele, przekręcił skorupę wyluskując ze swoich tkanek to, co kryło się pod skórą: w łagodnym świetle lamp zobaczył lśnienie tego okrucha platyny i sztucznych tworzyw w gęstej, czerwonej krwi, która kapłała teraz szybkimi i dużymi kroplami ze zgiętej ręki — i zaraz potem szarpnął nim niepojęty lęk: lepki, dławiący, w jakiś sposób zwierzęcy strach przed niczym. Pomyślał: „To tylko moje nadnercza wydzieliły większą niż kiedykolwiek ilość adrenaliny”. Wtedy to przeszło. Klęczał, wsłuchany w siebie, oczekujący czegoś, co miało w nim narosnąć, ale nie poczuł nic — tylko dotychczasowe zmęczenie ustąpiło miejsca jakiemuś podnieceniu. Przysiadł na piętach i patrząc na sączące się smużki ciemnej i szybko gęstniejącej krwi pomyślał: „Szkoda. To mogłoby być ciekawe: poznać samego siebie. Tylko że ja nie zdążę...”

Wstał teraz i trochę chwiejnie przeszedł przez pokój. Było mu duszno, oddychał szybko i płytko, serce biło mocno, nieregularnie — jak nigdy. „Boję się” — stwierdził spokojnie. To było spostrzeżenie zrobione zupełnie chłodno, jak gdyby obserwował jakiś okaz kliniczny, jakiś ciekawy przypadek; ten lęk nie zamącał myśli, dotyczył tylko ciała. Podeszedł do okna znacząc krwawy ślad na podłodze i tam dopiero wypuścił z palców kawałek zakrwawionej skorupy. Podniósł rękę, położył je płasko na szybie, a potem oparł czoło między swoimi dłońmi. Wpatrzył się w szklistą ciemność przed sobą oddychając już znowu spokojnie i równo klimatyzowanym powietrzem. Pomyślał: „Ciekawe, czy oni rejestrują to także. A jeśli tak, to czy już wiedzą, że w tym ich świecie jest taki jeden człowiek, który — nie będąc jednym z nich — jest także sobą: po prostu człowiekiem, zwierzęciem na najwyższym szczeblu rozwoju, niczym nie skrępowany i tylko sobie podległy, jak zwierzę”. Ale to także nie miało już większego znaczenia, więc przestał o tym myśleć, oddychając znowu rytmicznie i stojąc nieruchomo z dziwną, radosną świadomością swego ciała, podległego teraz wyłącznie jego woli.

A potem otworzył okno i stał dalej z rękami rozkrzyżowanymi, rozciągniętymi; dłonie przylegające jeszcze do obu skrzydeł okna — a pod nim była ciemność teraz już gęsta i czarna, w której — trzydzieści pięter pod nim — pełzały błyski ulicznych świateł. To wszystko wydało mu się tak odległe, że niemal nierealne, i on sam wydał się sobie także w jakiś sposób daleko mniej realny niż jeszcze chwilę przedtem. Stał tak, bardzo spokojny, czując, jak chłodne powietrze nocy dotyka jego ciała przez cienką koszulę, i już nie zwracając uwagi na to świetliste migotanie pod nim, wpatrzony bez niepokoju i żalu w trzydziestopiętrową przepaść. A potem, z tak samo rozpostartymi rękami, rozpoczął swój lot w tę ciemność pod sobą, w ciemność, która nie miała mieć końca i w której żadne zrozumienie nie mogło mu być potrzebne.